Nr. 2. Kraków, Luty 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU II-go:

Powszechne oczekiwanie pokoju.

Im dłużej przeciąga się wojna i im więcej ludów wciąga w swój wir okropny, to tem powszechniejsze i silniejsze jest oczekiwanie pokoju.

Pokoju oczekują wszystkie narody, gdyż wszystkie przeliczyły się w swoich kombinacyach. Wszak z wybuchem wojny każdy przypuszczał, że potrwa ona co najwyżej kilka miesięcy. A tu tymczasem wbrew wszelkim kombinacyom w o j n a c i ą g n i e s i ę j u ż r o k t r z e c i! Dlatego nie możemy się dziwić, że oczekiwanie pokoju jest tem tragiczniejsze i żywsze.

Wszyscy oczekują pokoju dlatego również, że ludzkość poniosła na rzecz wojny olbrzymie ofiary. Wojna, to jakby straszny jakiś potwór, jakiś wampir, który wysysa krew i soki żywotne ze wszystkich społeczeństw w wojnę zawikłanych. I tak niektórzy obliczają, że wielkie mocarstwa prowadzące wojnę, w y d a ł y j u ż n a n i ą p r z e s z ł o 360 m i l i a r d ó w k o r o n. Jest to suma tak olbrzymia, że trudno nam formalnie pojąć jej całe znaczenie. Widać więc, że wszystkie narody formalnie uginają się pod olbrzymiem i ciężkiem brzemieniem ciężarów wojennych. I przez długie lata po wojnie będą jeszcze musiały narody odczuwać na sobie straszne następstwa tych olbrzymich ciężarów.

Oczekiwanie pokoju jest tem silniejsze, jeżeli się uwzględni o l b r z y m i e o f i a r y w l u d z i a c h, jakie poniosły dotychczas wojujące narody. Całkiem dokładnych i wiarygodnych obliczeń jeszcze nie posiadamy — a będziemy je mieć zapewne dopiero po skończonej wojnie — ale z tych obliczeń, jakie się teraz już okazują, pokazuje się, że wojna europejska kosztowała dotąd w ludziach 4,600.000 zabitych, 11,200.000 rannych oraz 3,400.000 inwalidów. Są to więc olbrzymie ofiary, które naturalnie jeszcze bardziej wzrastają, im dłużej trwa wojna. Nic dziwnego, że wszystkie narody drżą przed dalszemi ofiarami i stawiają sobie trwożne zapytanie, co stanie się z Europą, gdy wojna jeszcze dalej przeciągać się będzie. Niektórzy widzą czarną

przyszłość i przepowiadają, że Europa zamieni się w jedno wielkie, straszne cmentarzysko.

Im dłużej przeciąga się wojna, t o t e m w i ę k s z e s z k o d y p o n o s i h a n d e l, p r z e m y s ł, r z e m i o s ł o, n a u k a, jednem słowem wszelkie prace pokojowe, bo ludzie musieli to wszystko porzucić, chwycić za broń i iść w pole. Dlatego też okazuje się brak wszystkiego, każdy oczekuje, by co rychlej wszystko wróciło do dawnego trybu.

A co najgorsze, to powszechny b r a k ś r o d k ó w ż y w n o ś c i. Jest to największe nieszczęście w czasie obecnej wojny. Czegoś podobnego ludzie przed wojną nawet nie przypuszczali. Dzisiaj już we wszystkich państwach wojujących daje się odczuwać brak środków żywności, ale najbardziej tragicznie w państwach centralnych z powodu ich zupełnego odcięcia od reszty świata przez potężną koalicyę. Ludy oczekują więc, jak wybawienia, uwolnienia od tego strasznego ucisku. A to uwolnienie może jedynie sprowadzić pożądany pokój.

Wreszcie trzeba i to uwzględnić, że z powodu długiego trwania wojny r o z l u ź n i ł y s i ę w ę z ł y r o d z i n n e. Nie jeden mąż przebywający już trzeci rok na wojnie, złamał wiarę małżeńską! Tak samo niejedna żona zapomniała się, uległa pokusom i nie dochowała zaprzysiężonej wierności swemu mężowi. Jako owoce ich rozwiązłego i rozpustnego życia zjawiają się, niestety, dzieci nieślubne. Ile stąd płynie kłótni, swarów, niezgody, ile obrazy Boskiej, to jednemu Bogu tylko wiadomo. Trudno pojąć, ile w tem wszystkiem kryje się tragizmu. Dodajmy do tego, że dzieci pozostałe w domu, nie chcą słuchać matki, bo nie czują nad sobą twardej ręki ojcowskiej; dodajmy do tego upadek gospodartswa i ładu domowego, bo sama żona nie może sobie dać rady — a otrzymamy straszny obraz rozluźnienia węzłów rodzinnych! Oto smutne następstwa wojny. Pragną więc i mężowie i żony i dzieci i duszpasterze, ażeby ta nieszczęsna wojna już raz się nareszcie skończyła.

Widać z tego wszystkiego, jak wielkiem nieszczęściem jest wojna, a jakiem wielkiem dobrodziejstwem jest pokój. Nic dziwnego, że wszystkie ludy oczekują go z utęsknieniem.

Zbłąkany geniusz ludzki przed bramami Watykanu.

Kto trzeźwo i krytycznie patrzy teraz na dzieje Europy, musi tragicznie załamać ręce i w bolesnej pogrążyć się zadumie. Ta część świata doszła do największej kultury, oświaty i postępu. Cywilizacya europejska przyświecała innym ludom w innych częściach świata. Przez swoje wynalazki człowiek stał się panem lasów, oceanów i przestworzów niebieskich. Myśl ludzka w kilku sekundach obiegała po drucie telegraficznym całą kulę ziemską.

Oświecony człowiek popełnił jednakowoż jeden kolosalny błąd, mianowicie ten, że w swoim postępie nie oglądał się na Boga. Sobie wszystko przypisywał, a od nikogo nie chciał być zależnym, mówił: „służył nie będę Najwyższemu“.

Lecz w tem się przeliczył i to stało się przyczyną jego strasznego upadku. Obecny straszny kataklizm dziejowy, obecna już trzeci rok trwająca niebywała rzeź cywilizowanych narodów europejskich, jest straszną karą za pychę ludzką, sięgającą do niebiosów i przywołującą zemsty Bożej. Geniusz ludzki wzbił się istotnie wysoko na swoich szeroko rozpostartych skrzydłach, ale też tem niższy i straszniejszy jest jego upadek podczas wojny. Podobny on ci jest — ten dumny geniusz ludzki — do zbłąkanego ptaka, który poczuł swoją niemoc, bije nerwowo skrzydłami, trzepoce się po ziemi, a pod niebo wznieść się nie potrafi.

Tu się pokazuje jego upokorzenie.

Podobnie ma się sprawa z nieszczęsną Europą. Potęga, wiedza, postęp i wynalazki nie zbawiły jej. Przeoczyła potęgę moralną, która zawsze rządzi światem. Sprawiedliwość, sumienie, nie może być wyrzucone z dziejów świata. I dzisiaj dumna Europa — niby ptak błędny — zbliża się trwożna do bram Watykanu, na które do niedawna spoglądała z wyniosłą dumą.

Dziwne zrządzenie Opatrzności Bożej!

Tem szczególniejsze, że czynią to obie strony wojujące!

O pośrednictwo i o pomoc przy zawarciu pokoju poprosiły Ojca św. mocarstwa centralne, a zwłaszcza Niemcy, owe potężne, militarne Niemcy, które przez długi szereg lat groziły światu mieczem i głoszące światu dumnie, że nie boją się nikogo oprócz Pana Boga. Dzisiaj uznają swoim postępkiem, że ponad siłą fizyczną istnieje wyższa potęga moralna.

Tę samą pokorną rolę przed bramami Watykanu odgrywa również potężna koalicya. Telegramy donosiły, że prezydent ministrów angielskich Lloyd George, tej Anglii, której hasłem przez kilka wieków było: „precz z Papieżem!“; tej Anglii, która się głosi światowładną, niepokonalną potęgą, gdy był na wielkiej konferencyi koalicyi z początkiem stycznia b. r. w Rzymie, miał też być na audyencyi u Ojca św. Benedykta XV. Ba, co więcej, nawet sam niepohamowany i pewny siebie Arystyles Briand, prezydent ministrów francuskich, zaciekły wróg Kościoła, starał się w tym samym czasie o nawiązanie pośrednią drogą stosunków z Watykanem! Telegramy tych samych biur telegraficznych doniosły wprawdzie w kilka dni później, że żaden z nich nie zjawił się na oficyalnej audyencyi u Ojca św., bo zapewne duma i zaciekłość masońska nie dozwoliła im uczynić tego kroku, ale to nie zmienia w niczem istoty rzeczy. Ministrowie potężnych państw, o których bez przesady powiedzieć można, że są głównemi sprężynami wielkiej światowej wojny, czuli potrzebę zetknięcia się z Papieżem. Nie wiemy jeszcze, co mu zakomunikowali pośrednią drogą.

To wszystko jest wielkiem upokorzeniem mocarzy tego świata przed mocarzem ducha. Oni dzierżący ster całych olbrzymich państw, wysyłający swem skinieniem miliony wojowników na pole bitew, starają się o względy bezbronnego „biskupa rzymskiego“, „więźnia“ Watykańskiego.

Nic to innego, jeno tryumf prawdy chrześcijańskiej, której najwyższym przedstawicielem jest Papież rzymski, nad zasadami i polityką tego świata, której przedstawiciele — cesarze i ministrowie — stają w kornej postawie przed bramami Watykanu.

Widać, że geniusz ludzki nie obejdzie się bez podpory moralnej.

Głos Ojca św. Benedykta XV. o pokoju.

Corocznie w miesiącu grudniu odbywa się uroczyste p o s i e d z e n i e K o n s y s t o r z a P a p i e s k i e g o. Na takiem uroczystem posiedzeniu wszystkich kardynałów pod przewodnictwem papieża Ojciec św. wy-

głasza przemówienie, które posiada zazwyczaj doniosłe znaczenie. Dziwna rzecz, że tegorocznej mowy Papieża nie podało telegraficzne Biuro korespondencyjne (B. kor.). Wiemy tylko z urywków, że Papież potępił w swojem przemówieniu barbarzyństwa, dziejące się w obecnej wojnie. Nie możemy, niestety, podać naszym Czytelnikom tego przemówienia w dosłownem brzmieniu.

Przy okazyi życzeń świątecznych, składanych Ojcu św. przez Kollegium kardynałów dn. 24 grudnia 1916 roku, Benedykt XV. zabrał głos i wypowiedział wiele cennych myśli dotyczących pokoju. Prasa polska nie podała dotychczas tego ostatniego przemówienia, papieskiego. Cytujemy ten głos w dosłownem brzmieniu według pism niemieckich:

Dnia 24 grudnia zeszłego roku święte Kollegium wszystkich kardynałów składało Ojcu św. życzenia świąteczne, przyczem dziekan Kollegium kardynał Vannutelli przedłożył zbiorowy adres, w którym wyraża nadzieję, że święte Kollegium będzie nakoniec mogło złożyć życzenia pokoju ludziom i narodom. Jest to również gorącem życzeniem Ojca św. i tak Kościół jak Papież pracują w każdym kierunku, ażeby przynieść ulgę cierpieniu, otrzeć łzy i pokrzepić ducha. Święte Kollegium łącząc się z ludźmi dobrej woli pragnie, aby ta działalność coraz szersze przybierała kręgi i żeby miłość, mądrość i bezpartyjność Ojca św., tego Księcia pokoju, Sędziego i Stróża sprawiedliwości coraz większe zdobywała uznanie. Ponieważ cały świat pragnie pokoju, wszyscy w tej pracy powinni brać udział, niech więc ogień dobrej woli rozpali serce i da im poznać źródło wiecznego pokoju i wiecznego szczęścia.

Na to Ojciec św. odpowiedział:

Już po raz trzeci w ciągu Naszego Pontyfikatu mamy sposobność z powodu miłego zwyczaju składania nam życzeń świątecznych, wyrazić Nasze uznanie świętemu Kollegium Kardynałów za tak wierne z nami współdziałanie! Jest to najlepsze świadectwo naszej spójni i jedności i wielką dla nas radością, że Kardynałowie rzymskiego Kościoła, tej matki uciśnionych, zawsze z pomocą spieszącej, tak wiernie Nas popierali w Naszych usiłowaniach przywrócenia pokoju i ulżenia nędzy, jaką wojna przyniosła. Dzięki niech będą za to Naszemu Panu i Zbawcy! temu Obrońcy uciśnionych członków Kościoła, który mocą swoją ożywia każde dzieło miłości i miłosierdzia.

Nowy dowód tej naszej jednomyślności widzimy w złożonych Nam przez przewiel. Dziekana świątecznych życzeniach, słowa zaś jego szczególną mają wagę tak dla wielkiego doświadczenia, jak i praktycznej mądrości życia jaka go cechuje. Głos twój Kardynale wyrażający życzenie samego Jezusa Chrystusa, jest jak by echem anielskich chórów, które i dzisiaj wśród szczęku broni i wybuchów nienawiści rozbrzmiewają na niebie. Nie zapomniałeś przytem wyrazić pragnienia, aby i nasza prośba dotąd niewysłuchana i nasza tęsknota za pokojem posiadała niezbędny warunek jak przed laty w Betleemie: „Pokój ludziom dobrej woli“. Dlatego życzenie Twoje jest Nam tak miłe, a wyrażony przy niem warunek tak jest na czasie, że nie przestaniemy nawoływać narodów do tej dobrej woli. W ciągu Naszego Pontyifkatu już nieraz dawaliśmy jej wyraz i mamy sobie za obowiązek zarówno jak nasz Poprzednik nakłaniać do niej wszystkich synów. Lecz jakże potrafią oni z Nami pracować nad pokojem, pokojem trwałym i sprawiedliwym któryby położył koniec okropnościom wojny, jeżeli nie zechcą zrozumieć, że się to stać nie może bez spełnienia tego niezbędnego warunku: „Pokój ludziom dobrej woli. „Pokój ludziom dobrej woli“ brzmi w powietrzu zarówno dzisiaj jak w chwili Narodzenia Pańskiego. W ciągu tej strasznej wojny obejmującej większą część świata, kiedyśmy czytali błagalne listy matek, żon, ojców i dzieci, kiedy oczy i serce Nasze musiało patrzeć na spustoszenia wywołane tym niewidzianym przewrotem, nieraz stawały Nam na myśli łzy Jezusowe na widok grzesznej i twardego karku Jerozolimy, i jeszcze głębiej poruszały Nas słowa Zbawiciela: „Iż gdybyś i ty poznało, Jeruzalem, i w ten dzień twój, co ku pokojowi twemu: a teraz zakryto jest od oczów twoich. Iżeś nie poznało czasu nawiedzenia twego“. (Łuk. XIX, 42).

Niechże i dzisiaj na widok maleńkiego Jezusa tak pokój miłującego, na głos anielskich chórów świat ten zrozumie, co mu pokój przyniesie! Niechaj mocarze zaprzestaną tej walki niszczącej całe narody, i niechaj ludzie uwierzą, że Kościół św. oświecony przez Tego, który jest Drogą, Prawdą, i Żywotem, dalej widzi aniżeli biedna ludzkość. Niech walczący usłuchają nakoniec nawoływań Ojca całego chrześcijaństwa i niech przygotują drogę do pożądanego pokoju, ażeby się spełniły słowa psalmisty Pańskiego: „Sprawiedliwość i pokój pocałowały się“.

W tej nadziei, że życzenia Nasze spełnią się w niedalekiej przyszłości, niechaj ludzie dobrej woli a szczególnie święte Kollegium znajdzie moc i pociechę! Pełni otuchy co do losów Kościoła św., którego Ręka Pańska nigdy nie zawiodła, patrzymy w przyszłość spokojnie, bo wiemy i ufamy, że Pan nie rzuci narodów na pastwę beznadziejnych losów.

Wyzwolenie dziecka w chrześcijaństwie.

Do niewoli, uciskającej rodzaj ludzki wskutek skażenia serc przez grzech pierworodny, zaliczyć trzeba obok niewolnictwa, wzgardzenia nizkiego stanu, podeptania godności kobiecej i ogromne poniżenie dziecka. Prawo rzymskie nie zajmowało się dzieckiem zupełnie. Ojciec był panem życia i śmierci jego. Był zwyczaj, iż dziecię człowieka wolnego, obywatela rzymskiego rzucano po urodzeniu ojcu pod nogi. Jeżeli ten łaskawie się nachylił i podjął je z ziemi i do łona przycisnął — to znaczyło, że je uznaje za swoje, i chowano je w domu. Jeżeli natomiast odwrócił się odeń, wynoszono dziecię natychmiast z domu i rzucano je na ulicy. Jeżeli nie zamarzło, albo z głodu nie zginęło i ktoś litościwy je nie zabrał i wychował, natenczas miał gotowego niewolnika na całe życie. Byli i okrutni przedsiębiorcy, którzy ze strasznej niedoli tych niemowląt, ciągnęli zyski. Ci nędznicy zbierali wyrzucone dziatki, którym, kto wie, czy nie lepiej było zemrzeć głodną śmiercią na ulicy. Ci kaleczyli, łamali i wykrzywiali członki znalezionym niemowlętom i wychowywali je na zawodowych żebraków, którzyby swojem kalectwem tem większą litość u przechodniów potem obudzić mogli.. Stary mędrzec pogański, Seneka, tak do jednego z tych nędzników przemawia: „Pokaż nam, proszę cię, te żyjące trupy ludzkie. Oto ledwie wloką się na nogach. Pokaż nam te gromady ślepych, kulawych, bezrękich, wygłodzonych i wynędzniałych. Zaprowadź nas do tej podziemnej nory, bo chciałbym też przypatrzyć się warsztatowi pracy ludzkiej, tej katowni dzieci!“

Rzadko się zdarzało, by wrodzone uczucie ludzkości złagodziło czasem te straszne nadużycia i ktoś znalazłszy porzucone na ulicy dziecię, chował je uczciwie. Zwano wtedy takie dzieci „wychowańcami“ i uważano je za synów „przysposobionych“. Niekiedy ten i ów zacny obywatel nadał takiemu swe własne nazwisko, a gdy umarło, napisał na jego grobie: „miłowałem je, jak własne dziecię“. Prawo jednak nie znało między takiemi dziećmi, a niewolnikami żadnej różnicy, a nawet nie oznaczało ich innem mianem. Jeżeli tak strasznym był los dzieci ludzi wolnych, to nierównie straszniejszym musiał być dzieci niewolników. Rodziły się one już dla niewoli, dla pana, i żadnych zupełnie praw nigdy nie miały.

Skoro atoli przyszła na świat Boża Dziecina, której nadano imię „Jezus“ — t. j. „Zbawiciel“ — zmienił się wnet los Jej rówieśników. Jezus-Dziecię przywrócił zapoznanemu w pogaństwie dziecku pogwałcone prawa człowieczeństwa i zapewnił mu godność synostwa Bożego, a co więcej, stawił je na wzór całej ludzkości.

Brał je bowiem Jezus na ręce, przygarniał do Swego Boskiego Serca, a gdy uczniowie łajali je, i odpychali, uważając je podług powszechnego zwyczaju za niegodne tej łaski, Pan Jezus rzekł im: „Zaniechajcie dziatek, a nie zabraniajcie im przychodzić do mnie, albowiem ich jest Królestwo niebieskie“. A gdy ci uczniowie, synowie swego wieku, owionięci pychą wiedli spór o to, który z nich ma być większym w Królestwie Bożem, natenczas Jezus, wziąwszy dziecię, postawił je pośrodku ich i rzekł: „zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie, jako te dziatki, nie wejdziecie do Królestwa niebieskiego. Ktokolwiek się uniży, jako to dzieciątko, ten jest większy w Królestwie niebieskiem; a kto by przyjął takie dziecię w imię moje, mnie przyjmuje. A kto by zgorszył jedno z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono go w głębokości morskiej.“

Ten Boski przykład i nauka Jezusa zbawiły dziecię, bo je wyrwały z rąk samowoli, tyranii i okrucieństwa, a podały pod szczególne prawo Boga. Przydał bowiem Pan Jezus surowe ostrzeżenie: „Patrzcież, abyście nie wzgardzali jednego z tych małych; albowiem wam powiadam, iż Aniołowie ich w Niebiesiech widzą zawsze oblicze Ojca Mego!“ I odtąd dziecko stało się przyszłością narodu i Kościoła św., podwaliną chrześcijańskiego społeczeństwa. Sumienne wychowanie go poczytuję się nietylko za chrześcijański, ale i społeczny obowiązek. Wszystkie narody ziemi nie szczędzą dziś ni grosza, ni starania na szkoły, ochrony, przytułki itp. zakłady, w których rośnie, rozwija się i do przyszłego obywątelskiego życia przysposabia dziecko.

Kiedy w obecnej wojnie straszna śmierć przerzedziła ludzkość, oczy wszystkich zwróciły się ku dziecku. Na niem bowiem opiera się teraz przyszłość każdego narodu. A jeżeli które, to przedewszystkiem polskie społeczeństwo, powinno dziś zwrócić najpilniejsze swe staranie ku dziecku. Jeśli bowiem świta nam zorza wolności i Polska ma być znowu państwem, to trzeba nam w przyszłości tęgich obywateli, świadomych swego celu i społecznego dobra. Ponieważ atoli skutkiem nędzy i chorób szerzy się dzisiaj straszna śmiertelność dzieci, trzeba je przeto, jako ostoję przyszłego życia, ratować. Szlachetnie myślące jednostki raz wraz wołają do społeczeństwa o pomoc w fundowaniu ochron, domów przytułku itp. Słuchajmy tego głosu i nie szczędźmy ofiar, bo na nich przyszła dola nasza urośnie.

Chrześcijański duch prawa wojennego w Polsce.

W miarę rozwoju okropności obecnej wojny przemyśliwają coraz więcej różni ludzie nad tem, jakby na przyszłość zapobiedz podobnej niedoli. Dawno rozwiązała to ważne zagadnienie Polska. Choć przez ciągłe najazdy wroga, cierpiała nieustannie straszną klęskę wojny, to jednak sama nie poniosła tych klęsk nigdy nikomu. Polska bowiem nie prowadziła nigdy wojen zaczepnych, ani zaborczych. A stało się to temu, iż prawo wypowiadania wojny należało do całego narodu, a nie do osoby króla.

Jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego stanęła ugoda między królem a Wielkopolanami, że oni wtedy tylko na zaczepną wyprawę pod jego wodzą pociągną, gdy on ich o to poprosi, a oni na tę prośbę się zgodzą. Ponieważ atoli król wówczas innego wojska, prócz pospolitego ruszenia nie miał, a na niepewne losy zaczepnej wojny nikt nigdy ochotnie się nie kwapi, przeto też ta uchwała, równała się zaniechaniu takiej wojny. A choć ta uchwała poszła potem w chwilowe zapomnienie, to jednak, w sto lat później, król Kazimierz Jagiellończyk znowu musiał ustąpić żądaniom wielkopolskiej szlachty, która groziła opuszczeniem szeregów w czasie wojny pruskiej. W przywilejach, wydanych w Nieszawie, przyrzekał król, iż szlachty wielkopolskiej nie będzie powoływał na wojnę, dopóki tego nie uchwali sejmik w mieście Środzie; to samo przyrzeczenie dał król innym ziemiom, prócz Małopolski i Rusi. Jednakowoż wkrótce potem, za Jana Olbrachta, na sejmie piotrkowskim rozszerzono ten przywilej na całą Polskę i prawo powzięcia uchwały o pospolitem ruszeniu miał odtąd tylko sejm.

Chociaż więc król miał jeszcze prawo wypowiadania wojny, to jednak, nie wypowiadał jej nigdy, bo nie mając przyzwolenia sejmu na pospolite ruszenie i wydatki wojenne, musiałby ją prowadzić na swój osobisty koszt, a do tego żaden władca pochopnym nigdy nie był.

Zresztą w drugiej połowie XVI. wieku t. zw. „artykuły henrykowskie“, które później potwierdzali wszyscy królowie polscy, zastrzegały już wszystkie postanowienia, o każdej, nawet obronnej wojnie, sejmowi. Ponieważ atoli wydarzyć się mógł nagły napad nieprzyjaciela na kraj, przeto sejm, pozwalał wówczas z góry królowi na zwołanie pospolitego ruszenia.

I w tym duchu trwało już prawo o wojnie w Polsce aż do końca. Później jeno coraz wyraźniej je określano, a po wyprawach Zygmunta III. na Moskwę w roku 1611 sejm warszawski tak je wypowiedział: „żadnemi wojskami ze sąsiadami wojen zaczepnych poczynać nie mamy bez wiedzy i zgody wszystkich stanów, chyba by nas, strzeż Boże, pierwej, albo jakiem przymierza zgwałceniem, albo niespodziewanym, a nagłym napadem sięgać chcieli“, a w r. 1613 dodano, że król tylko „dla gaszenia jakiego nagłego niebezpieczeństwa z dokładem panów rad (tj. senatu), którychby naprędce dosiądz mógł, zabiegać miał niebezpieczeństwu“. Według zaś „konstytucyi 3 Maja“ wojnę przyjąć mógł tylko sejm, przez uchwałę senatu i izby posłów, przyczem potrzeba było dwóch trzecich głosów.

Takie było w Polsce prawo wojenne, które zaprzysiądz musiał każdy król. To, że to prawo wykluczało zupełnie wojnę zaczepną, bo na taką, wszyscy posłowie sejmowi nigdy godzić się nie chcieli, mogło Polsce nie przysporzyć tego dobra, jakieby przez zabór sąsiedniej krainy pozyskać mogła: z drugiej atoli strony, dzięki temu prawu, zachowała Polska przez cały ciąg swoich dziejów czyste ręce, bo nie splamiła ich nigdy gwałtem ni niesprawiedliwym zaborem ziem cudzych. Przez to też zachował się w tem prawie duch nawskróś chrześcijański, który, gdyby wszedł w prawa i innych narodów, byłby najlepszą ostoją błogiego pokoju.

Duchowieństwo francuskie w czasie wojny.

Norweski pisarz, Fröis Fröisland, zamieszcza w jednem chrystyańskiem piśmie kilka uwag o duchowieństwie francuskiem z czasu wojny. Księża francuscy, acz socyalistyczne rządy pozbawiły ich zupełnie tych praw, jakie mają duchowni innych państw, zachowują zawsze swą godność kapłańską i w imię posłannictwa swego zawodu działają zawsze dla dobra ojczyzny.

Oto proboszcz Fabre w Rucil, małej parafii, liczącej zaledwie kilkaset dusz, a odległej parę kilometrów od Paryża, sprawił raz niespodziankę swym wiernym, mówiąc na kazaniu:

„Kochane siostry! W wioskach pozostały obecnie niemal same kobiety; wiem jednak że jesteście bogate!“

W kościele zapanowało wielkie zdziwienie...

„Tak, jesteście bogate! — mówił dalej kaznodzieja. — Każda z was posiada coś, co, bez wiedzy męża, uciułała i ukryła. Jedna ma 50 franków, inna sto, a ty tam, jestem tego pewien, masz dwie, a może nawet trzy setki franków, które ukrywasz w szafie, albo w doniczce. Jutro jednak musicie wszystkie do mnie przybyć i te pieniądze przynieść! Państwo ich bowiem potrzebuje. Każdej wydam potwierdzenie na złożoną kwotę i pięć od sta z góry odliczę. Jutro zatem czekam, a pewnie żadnej z was nie braknie!“

I w biednej parafii zebrał, zapobiegliwy o dobro państwa, proboszcz, sześć tysięcy franków na narodową pożyczkę wojenną. A nie był on jedynym w tem dziele. Wielu, wielu tak postąpiło, przysługując się rządowi, choć ten księży nie uznaje.

Kiedy bowiem w roku 1905 nastąpił we Francyi tak zwany: „rozdział państwa i Kościoła“, księża uważani są odtąd za zwyczajnych obywateli i tak, jak inni, płacą podatki, służą w wojsku i nie zajmują tego stanowiska w społeczeństwie, jakie mają duchowni innych państw. To też, gdy w roku 1914 ogłoszono tam pobór wojskowy, znalazło się w armii francuskiej 25.000 duchownych katolickich, z ks. Lobetem, arcybiskupem w Gap, na czele.

Gdy przy rozdziale Kościoła i państwa rozwiązano wszystkie zakony, zostawiono wówczas ich członkom do wyboru: albo porzucić życie zakonne i zostając w ojczyźnie pędzić życie świeckie, albo też opuścić granice kraju. Wszystkie zakony atoli pozostały wierne swemu powołaniu i opuściły ojczyznę.

Zaledwie jednak wybuchła wojna, zaczęli ci wygnańcy wracać tłumnie do kraju i zgłaszać się do wojska, jak kazało prawo. Z Belgii i Luksemburgu przybywały setki, a nie mniej z Ameryki, Hiszpanii, Włoch i Marokka. Przełożony Kapucynów, Jarosseau, osobnem rozporządzeniem wezwał wszystkim mnichów do natychmiastowego powrotu do Francyi, „by złożyć ojczyźnie swą część koniecznych ofiar“.

Opowiadano o jedenastu zakonnikach, którym w ostatniej chwili udało się przedrzeć przez luksemburską granicę; przebrani po świecku szli dniem i nocą, by się zgłosić w koszarach do służby. W pierwszem mieście francuskiem, powitał ich tameczny burmistrz słowami: „Obecnie rząd nie powie, iż was jest za wielu!“ A nawet osławiony księżożerca, Clemenceau, w tydzień po wybuchu wojny umieścił w jednem piśmie odezwę, w której się zachwyca zakonnikami: „Patrzcie, nawet mnisi, których wygnaliśmy poza granice kraju, wracają, spiesząc do biur wojskowych i zgłaszają się na ochotnika“.

Przed końcem września 1914 r. było wpisanych do szeregów wojskowych 82 braciszków Dominikanów, w tem 44 nowicyuszów; dotąd poległo z nich 11. Z zakonu Jezuitów zaś znalazło śmierć na polach bitew 110. Przeważna bowiem część duchowieństwa we Francyi pełni służbę zwykłych szeregowców; nie wielu zaś, bo zaledwie około 300 — służy w randze kapelanów (aumores).

„Co do odwagi i wzgardy śmierci, to nikt z księżmi równac się nie może!“ — takie zdanie słyszy się często z ust rannych żołnierzy.

To samo wyraził pewien żuaw, w szpitalu w Grand Palais, w następnych słowach:

„Nasi księża mają dyabła w ciele, a Boga w sercu, a tak uzbrojeni mogą nieustannie walczyć.“ To też krzyże wojenne, medale zasługi, wyszczególnienia w rozkazach dziennych, a często i krzyż legii honorowej — oto odznaczenia, jakich mnóstwo otrzymują francuscy księża-żołnierze. Z samych księży paryskich 59 otrzymało krzyż wojenny, a 5 zamianowano rycerzami legii honorowej.

Niemniej jednak zasługują się księża poza frontem, w służbie samarytańskiej po szpitalach i w różnych okolicznościach wojennych przypadków. Kardynał Lucon i proboszcz Landriem w Reims z bezprzykładnem narażeniem życia wydobyli naczynia, szaty i drogocenne zabytki kościelne z ostrzeliwanej i walącej się w gruzy słynnej od wieków katedry. Księża w Arras pełnili służbę strażaków pożarnych, nosili ciężary, czyścili ulice i t. p., gdy podczas ostrzeliwania miasta właściwe czynniki tych rzeczy uciekły. Arcybiskup Pechenard z Soissons zgłosił się dobrowolnie jako zakładnik, gdy wojsko niemieckie zażądało takiego, a proboszcz Leianes, objął zarząd miasta w Chalons, gdy nieprzyjaciel miał doń wkroczyć, a nie było komu uspokoić burzycieli porządku. W Seulis, gdzie zastrzelono burmistrza, proboszcz ocalił miasto przed zburzeniem, a w Geiheville siostra Julia, zakonnica, dokazywała cudów chrześcijańskiej miłości i ofiarności, a „imię jej wspominać się będzie po wszystkie czasy we Francyi“, jak zapewnia Fröis Fröisland.

Cóż atoli powie na te bohaterskie czyny Kościoła socyalistyczny rząd we Francyi. Czy uzna w nich ów wyższy pierwiastek, który tak wybitnie wyróżnia w nich duchownego od świeckiego obywatela? Czekajmy!

Płomień wojny na nowo się zapala.

Stary 1916 rok kończyliśmy z tem błogiem uczuciem, że już w niedalekiej przyszłości doczekamy się nareszcie upragnionego pokoju. Do tych nadziei upoważniał nas śmiały, stanowczy i wielkiej doniosłości krok mocarstw centralnych (środkowych) Niemiec, Austryi, Bułgaryi i Turcyi. Państwa te oświadczyły dnia

12 grudnia 1916 roku w urzędowych notach (pismach) rządom nieprzyjacielskim, że pragną zawrzeć honorowy pokój, nie chcą bowiem dalej przedłużać nieszczęść wojennych i powodować dalszego rozlewu krwi.

Nota państw centralnych zrobiła w całym świecie ogromne wrażenie. Ludy zaczęły żyć nadzieją, że wkrótce zrzucą z siebie nieznośne brzemię, jakie włożyła im na barki wojna. Sprawą tą zajęła się poważnie opinia państw neutralnych. Co najważniejsza, Wilson prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej zwrócił się do wszystkich państw prowadzących wojnę z propozycyą, że pragnie oddać swoje usługi i dopomódz powaśnionym narodom do zawarcia trwałego pokoju i do zabezpieczenia na przyszłość całej ludzkości przed podobnymi konfliktami (zatargami) wojennymi. Głos Wilsona rozległ się donośnem echem po całej kuli ziemskiej, bo pochodził od naczelnego zwierzchnika największej potęgi neutralnej. — Jakby tchnienie ciepłych, południowych wiatrów przychodziły z końcem grudnia ubiegłego roku pocieszające wiadomości, że krok Wilsona poparły również inne państwa neutralne, a mianowicie Szwajcarya, Dania, Szwecya i Norwegia.

Ale równocześnie jakby powiewy mroźnych północnych wiatrów dochodziły wiadomości groźne, nieprzyjazne pokojowi. Wieści te szły ze stolic państw nieprzyjacielskich z Piotrogradu, z Londynu, Paryża, Rzymu i t. d. Ministrowie, dyplomaci, parlamenty wypowiadały się nieprzyjaźnie pokojowi. Z tych wszystkich głosów można było wnioskować, że nienawiść do państw centralnych, a zwłaszcza do Niemiec, nie ostygła u ludów nieprzyjacielskich, że w wściekłość i w gniew ich wprawia zwłaszcza twierdzenie noty mocarstw centralnych, że Niemcy i ich sprzymierzeńcy są zwycięskimi. Ze wszystkich stron coraz natarczywiej odzywały się głosy że wojna nie może być pierwej skończona, zanim Niemcy nie zostaną zupełnie zdruzgotane i powalone.

Jednakowoż pomimo tego wszystkiego nie tracono nadziei, że przecież rokowania pokojowe mogą się rozpocząć. Dlatego z niezmiennem zaciekawieniem oczekiwano w całym świecie cywilizowanym urzędowej odpowiedzi państw nieprzyjacielskich koalicyi. Odpowiedź ta długo nie nadchodziła. Bo istotnie powzięcie decyzyi było nader trudne. Prądy koalicyi długo się naradzały, aż wreszcie zdecydowały się na wręczenie państwom centralnym wspólnej odpowiedzi.

Nastąpiło to w ostatnim dniu starego roku. Bez przesady możemy powiedzieć, że w pierwszym dniu Nowego Roku 1917 obiegła całą kulę ziemską hiobowa i straszna wieść, streszczająca się krótko, w tem, że koalicya nie myśli się wdawać w rokowania pokojowe z Niemcami i ich sprzymierzeńcami, bo propozycye pokojowe Niemiec są obłudne i nieszczere. — Odpowiedź koalicyi obala nadzieje pokojowe. Posiada ona tem donioślejsze znaczenie, że w tym wypadku koalicya postąpiła solidarnie, to znaczy, że wszystkie państwa nieprzyjacielskie zgodziły się na danie jednakowej odpowiedzi i podpisały ją Francya, Belgia, Anglia, Włochy, Serbia, Czarnogóra, Rumunia, Rosya, Japonia i Portugalia.

Wodpowiedzi koalicyi niema zaznaczone pod jakimi warunkami zgodziłaby się ona na zawarcie pokoju. Ale z ubocznych różnych oświadczeń wynika, że koalicya domaga się, ażeby Niemcy i Austrya wycofały się natychmiast z Belgii, z Francyi z Serbii, Czarnogóry, Rumunii a może i z Polski, a nadto ażeby zapłaciły kilkanaście miliardów na odbudowanie zniszczonych wojną terenów. Za to Niemcom będzie zwrócona część afrykańskich kolonii.

Każdy nawet niezbyt z polityką obznajomiony czytelnik łatwo zrozumie, że gdyby Niemcy zgodziły się na takie warunki, to musiałyby tem samem uznać się za pokonane i utraciłyby wszystkie owoce niezaprzeczonych wielkich zwycięstw. Państwa centralne są więc prawie zmuszone do dalszego prowadzenia wojny.

Koalicya nie może zaprzeczyć dotychczasowych zwycięstw państw centralnych. Mapa wojenna snuje wielkie plany na najbliższą przyszłość, mianowicie na zbliżającą się wiosnę. Głosi, że posiada jeszcze olbrzymi materyał ludzki, że sama Anglia wystawi na wiosnę nową milionową armię, że posiada nieprzebrane zasoby w środkach żywności, w materyale wojennym, w uzbrojeniu, w armatach najstraszliwszych najnowszego wynalazku i t. d. A tymczasem państwa centralne — tak głosi koalicya — gonią ostatkami, upadają z wycieńczenia, nie mają czem wyżywić ani armii ani swoich ludów. Na wiosnę zatem — tak ciągle głosi — klęska Niemiec jest pewna, a zwycięstwo koalicyi zajaśnieje w całym blasku. Zwłaszcza Rosyanie nie tracą nadziei, że w Berlinie podyktują warunki pokoju.

Przy takiem więc zacietrzewieniu i przy takich nadziejach, jakie żywi strona przeciwna nie może dojść do zawarcia pokoju, bo tam brakuje dobrej woli. Dłoń wyciągnięta przyjaźnie przez państwa środkowe, została dumnie odepchnięta przez koalicyę.

Anioł śmierci i zniszczenia unosi się zatem nadal nad zakrwawioną Europą. Z powodu zimy osłabły działania wojenne, ale to wcale nie oznacza osłabnięcia walk. Milionowe armie zaczaiły się jakby na chwilę, ażeby odpocząć, ażeby nabrać na nowo i oddechu, ażeby przy najbliższej sposobności rzucić się na siebie wzajemnie z tem większą zaciekłością. Ministrowie państw koalicyi zjechali się z początkiem stycznia w Rzymie, ażeby knuć nowe strategiczne plany.

Ich narady, głosy prasy i podniecanie opinii publicznej, to groźne ognie wewnętrzne nurtujące wśród społeczeństw koalicyi, które na wiosnę mają wybuchnąć na zewnątrz i zapłonąć nowym ogniem strasznej wojny.

Zdaje się, że dopiero te ostatnie zapowiadające się krwawe bitwy na lądzie i morzu przyniosą ostateczne rozstrzygnięcie i postawią pokonane mocarstwa przed koniecznością przyjęcia podyktowanych przez zwycięzcę warunków pokojowych.

O nowy kościół na Dębnikach.

Naszym Czytelnikom znane są już usiłowania i zabiegi, podejmowane przez mieszkańców Dębnik i sąsiednich dzielnic, a mające na celu wybudowanie własnej świątyni Pańskiej. Sprawę tę poruszaliśmy już bowiem nieraz w naszem piśmie.

Ponieważ jednakowoż teraz w czasie wojny istnieją nieprzezwyciężone trudności, nie dozwalające rozpoczęcia budowy nowego kościoła, dlatego tamtejszy Komitet powziął praktyczną myśl, ażeby przystąpić bezzwłocznie do budowy tymczasowego, drewnianego, barakowego kościoła. Wystarczy on na razie dla służby Bożej na kilka lat, a nie będzie zbyt wiele kosztował. Budowy jego nie można było na później odkładać, bo już teraz jest konieczne potrzebne jakieś miejsce do odprawiania służby Bożej. Gdy zaś wojna się ukończy, gdy potanieją materyały budowlane, można będzie przystąpić do budowy murowanego, okazałego kościoła na Dębnikach.

Myśl budowy tymczasowego, barakowego kościoła na Dębnikach zaakceptował najłaskawiej Książę-Biskup Sapieha i wydał w tej sprawie następującą odezwę. Przytaczamy ją na tem miejscu w dosłownem brzmieniu:

Z pisma Szanownego Komitetu z dnia 4 października z. r. powzięliśmy nader radosną wiadomość, że w Dębnikach zawiązał się Komitet, który uznając, że zamierzona budowa pamiątkowej świątyni w Dębnikach na którąto cel Rada miasta Krakowa przeznaczyła kwotę 100.000 koron, z powodu wojny i jej skutków w blizkim czasie dokonaną być nie może, wziął sobie za zadanie przystąpić bezzwłocznie do budowy tymczasowego kościoła w Dębnikach.

Nie od dziś patrzymy z boleścią na skutki braku kościoła i duszpasterskiej pracy na miejscu w tej dzielnicy zawiślańskiej Krakowa. Czyniliśmy też wszystkie usiłowania, by zaradzić temu brakowi i urzeczywistnić myśl powziętą już od lat kilku.

Skoro jednak stosunki tak się ułożyły, że wiedzieliśmy, iż to nie jest do osiągnięcia, musieliśmy poprzestać na wyznaczeniu osobnego kapłana dla pracy duszpasterskiej z siedzibą w Dębnikach przy kapliczce tamtejszej ochronki. Nie łudzimy się ani na chwilę, że skromna ta sala ochronki nie może wystarczyć dla dzielnicy liczącej kilka tysięcy ludności. Starań też naszych nie zaprzestaniemy, a dziś z prawdziwą radością widzimy, że Szanowny Komitet z tamtejszym ks. Ekspozytem Karolem Słowiaczkiem na czele podjął Naszą myśl i nie zrażając się trudnościami, na jakie napotkać może, ufny w pomoc Bożą i ochotną ofiarność mieszkańców postanowił przystąpić bezzwłocznie do zbudowania tymczasowego kościoła w Dębnikach.

Nie wątpimy, że dzieło rozpoczęte przez Komitet skupi wszystkich mieszkańców dzielnicy zawiślańskiej do wspólnej i ochoczej pracy.

Wiemy, że czasy obecne bardzo ciężkie, potrzeby każdego wielkie, że więcej między tamtejszymi mieszkańcami ubogich, niezamożnych, ale i ubogi, jeżeli ma serce miłością Boga gorące, odłoży ze swego ubóstwa grosz wdowi, by przyspieszyć wzniesienie choć tymczasowego przybytku Bożego, tej skarbnicy naszego szczęścia doczesnego i wiecznego. A ci wszyscy, co chętnie poniosą grosz zapracowany lub pracę rąk do budowy, nietylko we własnem sercu i wdzięczności potomnych będą mieć nagrodę, ale ofiara ich przed Bogiem nie będzie zapomniana. Pan Bóg, u którego żaden dobry czyn nie ginie, który „ochotnego dawcę miłuje“, za hojność serca ich hojnością łask i darów Swoich zapłaci.

Na początek tego zbożnego dzieła przeznaczamy z własnych funduszów kwotę 10.000 koron i taką samą kwotę z funduszu Dyecezyalnego na budowę nowych kościołów.

Za troskliwość o dobro duchowe mieszkańców dzielnic zawiślańskich wyrażamy Szanownemu Komitetowi uznanie i podziękowanie, a dla rozpoczętej zbożnej pracy udzielamy z głębi serca Naszego Arcypasterskiego błogosławieństwa.

† Adam Stefan
Książę Biskup.

Z powyższej odezwy widać, że Arcypasterz dyecezyi pragnie, by na Dębnikach powstał czemprędzej dom Boży, by tamtejsi mieszkańcy mieli zapewnioną opiekę duszpasterską. Nie żałował też na ten cel tak wielkiej ofiary.

W tych wzniosłych usiłowaniach powinni poprzeć Księcia-Biskupa wszyscy dyecezyanie, tak kapłani jak wierni. Jeszcze potrzeba wiele pieniędzy zanim na Dębnikach stanie świątynia Pańska, odpowiadająca swemu celowi. Wszelkie ofiary można przysyłać pod adresem: Ks. ekspozyt Karol Słowiaczek, prezes Komitetu budowy kościoła w Dębnikach ost. p. Kraków. — Datki na ten cel przyjmuje też Administracya „Głosu Narodu“ w Krakowie ul. św. Tomasza nr. 35.

Pożytek wódki.

W Anglii — jak wiadomo — istnieją liczne stowarzyszenia wstrzemięźliwości, które gorliwie walczą z pijaństwem. Na jednem takiem zgromadzeniu w Londynie przemawiało już wielu i długo o szkodach, jakie wódka przynosi. Wreszcie chciał jeszcze przyjść do słowa zwykły żeglarz, lecz słuchacze byli już znużeni i nie okazywali chęci słuchania jeszcze dalszych na ten temat wywodów. Zapalony tedy apostoł abstynencyi wpadł na zręczny pomysł i obiecał słuchaczom mówić o pożytkach z wódki. Wszystkm wydało się to tak nowem i ciekawem, że zostali i gotowi byli słuchać majtka. Zaczął więc, jak następuje:

Dotychczas słyszeliście tylko same mowy o niebezpieczeństwach pijaństwa, zgubnych jego skutkach o szkodliwym jego wpływie na ciało i duszę człowieka. Tymczasem wódka ma i korzyści, a że pijaństwo tak pochodzi z wódki, jak kura z jaja, przeto: pijaństwo musi mieć swoje korzyści. (Brawo! Brawo!) Pragnę tedy przemówić o korzyściach wódki i pijaństwa, chcę ją wziąć w obronę. Z góry zapewniam, że mówić będę krótko i węzłowato, by cierpliwości panów nie wystawiać na nierówną próbę. (Wybornie! znakomity mowca, warto posłuchać!). Proszę tedy uważać: Wódka, czyli lepiej powiedziawszy, pijaństwo, jest rzeczą dobrą i ma swoje dobre strony. (Dobrze mówi!). Pijaństwo przysparza zarobku szynkarzowi i gorzelnikowi. Pijaństwo nagania zajęcia i pieniędzy doktorom, w pijaństwie bowiem najwięcej walą się chłopy, rozbijają sobie głowy, łamią nogi, wpadają do rowu lub na kupy kamieni. Pijaństwo jest dobrą rzeczą, bo sprowadza długie choroby, stawia doktorów na nogi, utrzymuje apteki, wszak większa część chorób pochodzi z niemierności. Pijaństwo zapełnia szpitale, kostnice, czyli trupiarnie, dostarcza więc roboty grabarzom, a wiadomo, że praca i ruch służą do zdrowia. Pijacy są dobrzy ludzie, oni rozbijają okna, dają więc zarobek szklarzom, drą na sobie i na innych surduty i spodnie, dają więc robotę krawcom. Pijany skłania do czuwania i do zajęcia policyantów i stróżów nocnych, a więc strzeże ich od nudów i gnuśności, wszak wiadomo, że najsmaczniej śpią stróże. (Brawo!). Dostarcza wreszcie roboty sędziom i adwokatom, a oczywiście i pieniędzy.

Moi Panowie! Wiadomo każdemu, że areszty, domy poprawy i więzienia nie stanęły na zawołanie, że wiele kosztuje zbudowanie ich i utrzymanie. Wszystkie te wydatki byłyby na wiatr rzucone; dozorców, sędziów itd. trzebaby rozpuścić, gdyby więzienia były próżne. Otóż pijacy to właśnie głównie zaludniają kryminały. Kto dodaje podniety, pokusy, odwagi do kradzieży, do bójki, do zabijania, do kłótni? Wódka! Terminator, czeladnik nie okradałby i nie oszukiwał swego majstra, sługa — pana, handlowiec — pryncypała, kupiec — odbiorców, dziecko — swych rodziców, mąż — żony, gdyby pijaństwo nie dodawało mu animuszu. Młokos nie zakłócałby spokoju, nie byłby uwodzicielem; mąż nie byłby zbójem, starzec — poplecznikiem, wspólnikiem złodziejskim, gdyby pijaństwo nie ciągło go do

złego. Pytam, czy to nie przynosi zysku, czy zysk nie jest dobrą rzeczą, a przyczyna dobrego, czy nie jest także dobrą rzeczą?

Chcesz chodzić w łachmanach? chcesz, żeby cię przeklinali, żeby tobą gardzili? — To bądź pijakiem!

Chcesz ciągle mieć pragnienie, być słabym, zgryźliwym, kłótliwym, drżeć na całem ciele, mieć nos i twarz miedzianą, wcześnie umierać? — Bądź pijakiem!

Chcesz być złym człowiekiem, niewdzięcznym synem, wstrętnym mężem, okrótnym ojcem? — Bądź pijakiem!

Chcesz, żeby przez ciebie rodzice wypłakali sobie oczy, żeby żona ze zmartwienia rychło zeszła ze świata, żeby dzieci zmarniały ze wstydu, głodu i poniewierki?

Chcesz pójść do kryminału jako pasożyt kraju i państwa?

Chcesz wcześnie umrzeć i zatruć się powolną, lecz niezawodną trucizną? — Pij wódkę!

Chcesz stracić rozum, umrzeć bez Sakramentów św. i pójść na potępienie? — Pij wódkę!

„Brawo!“ krzyknęli, lecz nie wszyscy! Ci, co pierwsi wołali „brawo!“, odeszli, nie zbyt zadowoleni.

Nagrody za długoletnią służbę.

Rada Arcybractwa Miłosierdzia w Krakowie na swem posiedzeniu dnia 12 stycznia odbytem, przyznała z fundacyi ś. p. X. Schindlera nagrody pieniężne po 50 koron 28 sługom za długoletnią wierną służbę u tej samej osoby, względnie u tej samej rodziny. Wykaz nagrodzonych według lat służby, jest następujący: 1. Regina Firganek służy od 40 lat u pp. Kimmlów w Bestwinie; 2. Katarzyna Budzias od 36 lat u p. Bocheńskiej w Jordanowie; 3. Zofia Łagosz od 31 lat u pp. Krawczyńskich w Andrychowie; 4. Katarzyna Rażna od 30 lat u p. Matejko w Krakowie; 5. Józef Bułat od 29 lat u pp. Hallerów w Polance Haller; 6. Anna Wilkówna od 27 lat u p. Rogoszowej w Krakowie; 7. Anna Krawczyk od 26 lat u p. Stempińskiej w Krakowie; 8. Michał Kumala od 26 lat u X. Płaziaka w Myślenicach; 9. Katarzyna Semik od 26 lat u pp. Bidzińskich w Krakowie; 10. Andrzej Guzy od 26 lat w klasztorze OO. Bernardynów w Alwerni; 11. Helena Środa od 25 lat u p. Widuchowskiej w Oświęcimiu; 12. Tekla Szczepanik od 24 lat u p. Wielhorskiej w Krakowie; 13. Katarzyna Książek od 23 lat u p. Freundowej w Krakowie; 14. Józef Kajła od 22 lat u p. Dra Gaszyńskiego w Karniowie; 15. Franciszka Ostrowska od 22 lat u p. Guzikowskiego w Krakowie; 16. Helena Paździora od 22 lat u X. Kopińskiego w Babicach; 17. Wiktorya Maczek od 22 lat u p. Zarembiny w Krakowie; 18. Franciszek Kaczor od 21 lat u p. Bocheńskich we Wróżenicach; 19. Rozalia Rączka od 21 lat u pp. Winkowskich w Krakowie; 20. Anna Hanusiak od 21 lat u p. Moritzowej w Zabierzowie; 21. Antonina Chrobak od 20 lat u p. Tournelle w Żywcu; 22. Szymon Grabias od 20 lat u p. Pareńskiej w Krakowie; 23. Magdalena Smolik od 20 lat u p. Antonowicz w Makowie; 24. Magdalena Zając od 20 lat u pp. Żukrowskich w Krakowie; 25. Marya Matras od 20 lat u p. Jagielskiej w Krakowie; 26. Magdalena Broda od 19 lat u pp. Skrzyniarzów w Krakowie; 27. Wiktorya Staszycka od 19 lat u p. Czaszowej w Krakowie; 28. Marya Wójcik od 19 lat u pp. Zieleniewskich w Krakowie.

Pożyteczną tę fundacyę ustanowił w Arcybractwie Miłosierdzia w Krakowie ś. p. X. prałat Jan Schindler. Jest do rozdania na premie roczne 1.400 koron. Rozdawnictwo następuje raz na rok, na początku każdego roku. Ubiegać się mogą o nagrodę słudzy obojga płci, religii rzymsko-katolickiej, narodowości polskiej, którzy przynajmniej 10 lat przesłużyli u tej samej osoby, lub u tej samej rodziny. W myśl aktu fundacyjnego pierwszeństwo przed młodszymi należy się starszym służbą.

Przekleństwo długich wojen.

Na innem miejscu piszemy o różnych złych skutkach, jakie wywołują długie wojny.

Ale najgorszem i najstraszniejszem może nieszczęściem długiego trwania wojen jest rozluźnienie związków rodzinnych.

Z powodu długiego trwania wojny zaczyna się wszystko psuć w rodzinie.

Przedewszystkiem zaczyna utykać wychowanie dzieci. Młodzież — a zwłaszcza dorastający chłopcy — nie chcą słuchać pozostałych w domu matek, jako słabszych i łagodniejszych. W Niemczech daje się słyszeć powszechne narzekanie na krnąbrność i zepsucie młodzieży męskiej. To samo narzekanie słychać i u nas. Chcąc choć po części temu złemu zaradzić, w dyecezyi krakowskiej założono z inicyatywy Księcia-Biskupa Sapiehy „Związki młodzieży“ po wioskach i miasteczkach, ażeby tym sposobem poprowadzić naszą młodzież drogą uczciwą, szlachetną i ażeby jej dać możność kształcenia się, skupiania i ażeby jej dostarczyć godziwych rozrywek. W Krakowie zaczęło wychodzić nawet specyalne pismo dla młodzieży p. t. „Młodzież Polska“.

Długie rozłączenie się z żoną, z dziećmi i domem, wpływa także niekorzystnie na mężów. Z powodu długiego trwania wojny niejeden mąż musi żyć przez kilka lat w zupełnej wstrzemięźliwości i czystości. Do takiego powściągliwego i umartwionego sposobu życia ogół mężów nie był przyzwyczajony. Błogosławieni ci, którzy umieją „zaprzeć samych siebie“ i oprzeć się mężnie wszystkim nadarzającym się pokusom i okazyom do złego. Ale wielu mężczyzn nie umie zapanować nad budzącemi się namiętnościami, ulega złym skłonnościom ciała, popełnia grzechy nieczyste, łamie wiarę małżeńską. Jest to istne przekleństwo i wielkie nieszczęście wojen — znane w historyi — że za walczącemi armiami wlecze się zawsze druga armia złych, zepsutych i upadłych kobiet, które się zaprzedają rozpuście. Wynika stąd zawsze to groźne niebezpieczeństwo, że wielu mężczyzn zaraża się najobrzydliwszemi chorobami zaraźliwemi, wenerycznemi. A co gorsza, choroby te rozwłóczą po kraju. Już dzisiaj zadają sobie uczeni trwożne pytanie, jak ustrzedz społeczeństwa europejskie przed zakażeniem chorobami wenerycznemi. Zaczęto już stosować nawet środki zaradcze.

Na podobne pokusy i niebezpieczeństwa narażone są również żony, pozostałe w domu. Niejedna z nich ulega też pokusom, namiętnościom i namowom i zaczyna prowadzić życie rozpustne. Wiara małżeńska jest złamana. Często — jako świadki złego — przychodzą dzieci nieślubne. Trudno opowiedzieć, ile z tego wszystkiego wynika złego, kłótni, swarów, procesów i t. d. Im dłużej trwa wojna, tem więcej właśnie zdarza się takich tragedyi rodzinnych. Już dzisiaj obawiają się nie-

których, że po skończonej wojnie przyjdzie, zwłaszcza po miastach, do wielu procesów rozwodowych. Oto straszne przekleństwo długich wojen!

Przysłowie powiada, że „niema nic nowego pod słońcem“. I rzeczywiście te opłakane skutki wojen zapisuje nam historya z ubiegłych stuleci. Przytoczymy tutaj jeden przykład z historyi polskiej*).

Nasz król polski Bolesław Śmiały wyprawił się około 1077 roku na wojnę na Ruś. Wyprawa powiodła się Bolesławowi, bo zdobył Kijów, miasto stołeczne Rusi. Obowiązkiem jego było teraz przywrócić tam porządek i wrócić do ojczyzny. Ale król, bogactwem Rusi i dostatkiem wszystkiego uwiedziony, pozostał w Kijowie z całem wojskiem przez zimę w zupełnej nieczynności. Wylał się cały na rozpustę, czas trawiąc na biesiadach i przestawaniu z nierządnicami. Za przykładem króla szło jego rycerstwo.

Dochodziły do Polski wiadomości o tem, co król i wojsko polskie czynią na Rusi. Powstało w Polsce niesłychane zamieszanie i zepsucie obyczajów. Opowiadają, że żony rycerzy, którzy poszli na wojnę, jedne ośmielone tem, że ich mężowie nie dochowują im wiary małżeńskiej, same też poczęły łamać wiarę zaprzysiężoną swoim mężom; inne sumienne, które same złamać wiary małżeńskiej nie chciały, pozbawione opieki mężów, ulegały przemocy napastników. Doszło do tego, że żadna niewiasta, czy mężatka, czy panna nie była pewną czci niewieściej. Były i takie niewiasty, które lękając się o swą cześć i cnotę, w ucieczce lub w ukryciu szukały ratunku. Dzieje wspominają ze czcią niejaką Małgorzatę, żonę rycerza Mikołaja Strzemieńca ze Zembocina, która z dwoma siostrami ukryła się na wieży kościoła w Zembocinie i tam potajemnie żywiona przez krewnych, przemieszkała aż do powrotu męża.

Gdy się to działo w Polsce, doszła wieść na Ruś do wojska polskiego. Rycerze polscy zaczęli tłumnie króla opuszczać i wracać do Polski. Król tych zbiegających zaczął okrutnie karać, wreszcie wrócił z niesławą do Polski. Teraz jego okrucieństwo w karaniu rycerzy, którzy go potajemnie opuścili, w karaniu żon, które były tego powodem, stało się bezprzykładnem. To wszystko doprowadziło do większego jeszcze konfliktu między królem a św. Stanisławem biskupem. Skończyło się wreszcie śmiercią męczeńską św. Stanisława i ucieczką na wygnanie króla.

Oto straszny przykład.

Nic dziwnego, że mocarstwa centralne pierwsze wystąpiły teraz z propozycyą zawarcia pokoju. Niestety, ich zamiar się nie spełnił. Nieprzyjacielskie rządy koalicyi odrzuciły rękę wyciągniętą do zgody. Na nie też spada straszna odpowiedzialność za dalsze trwanie wojny i za jej wszystkie okropne następstwa.

Matka nawrócona przez córkę.

„W zimie roku 1824 — pisze pewien kapłan — zawezwano mnie do osoby ciężko chorej. Mieszkała przy matce, liczącej około 52 lat; dowiedziawszy się, że matka nie uczęszcza do Sakramentów, mówiłem jej kilka razy o tej rzeczy, ale zawsze napróżno. Wkrótce też unikała mego spotkania i skoro tylko przyszedłem, usuwała się natychmiast do swego pokoju.

Tymczasem chora córka widziała, że się koniec jej życia zbliża i wcale się tem nie martwiła. Rzekłbyś, że śmierć, o której często rozmawiała, nie była dla niej wcale przykra.

*) Porównaj: Ks. Bp. Fischer: „Kazania“ II., str. 457.

Pewnego dnia, skorom wysłuchał jej spowiedzi i gdym już zabierał się do wyjścia prosiła mnie, bym powiedział matce, aby do niej przyszła i abym się nie oddalał. Matka przyszedłszy, niemało się zdziwiła, że córka wbrew zwyczajowi swemu, bardzo płacze, bo zwyczajnie mimo swych cierpień, była bardzo wesoła.

— Czemuż ty płaczesz moje dziecko? — zapytała — czy już tracisz odwagę? Wszakżeś dotąd zawsze była taka cierpliwa!

— Nie, matko moja, nie... lecz płaczę, bo się dziś z tobą muszę pożegnać na zawsze! O, jak to boleśnie!

— Ależ dlaczego? Czy już nie jesteś na wszystko gotową?

— Dlaczego? Ach, bo się żegnam z tobą na wieki!

— Ależ nie, moja córko!

— Tak jest, moja matko, żegnam się z tobą na wieki! Ty i ja nie idziemy tą samą drogą. Ja, przystępując do Sakramentów świętych, postępuję drogą, wskazaną nam przez naszą św. religię i spodziewam się osiągnąć szczęście, które ona nam obiecuje. Ale ty, droga matko, odsuwając się od świętych Sakramentów, nie możesz mieć tej nadziei. A zatem nie trafimy obie do tego samego celu.

Słowa te wyrzekła głosem silnym i wzruszonym. Będąc świadkiem tego zajścia, którego się nie spodziewałem i którego przewidzieć nie mogłem, nie byłem w stanie wyjść z osłupienia. Matka pobladła i zdawała się być wzruszoną. Córka konając, zebrała jeszcze raz wszystkie siły i podnosząc się na poduszkach, zawołała:

— O Boże! moja matko, moja matko! Więc cię już nigdy nie zobaczę! już przepadło! Bądź zdrowa, moja matko. Bądź zdrowa, moja droga matko... na wieki! tak, na wieki!

Na te słowa matka zemdlała. Po chwili przyszedłszy do siebie, wstała i rzekła:

— Nie, moja córko! nie! nie będziemy rozłączone. Pociesz się moja córko; jam była twoją matką, ty jesteś dziś moją; pójdę się wyspowiadać i będę odtąd katoliczką w uczynkach i w uczuciach.

— Mój ojcze — rzekła do mnie — czy chcesz być odtąd moim spowiednikiem, abym tę pociechę sprawiła mej córce nim umrze i abym ją mogła przynajmniej zapewnić, żem zaczęła...

Oznaczyłem jej godzinę popołudniową, przyszła i spełniła wiernie swą obietnicę i zdaje się, że wytrwa w postanowieniu.

Ta szczęśliwa zmiana napełniła pociechą jej córkę, która w kilka dni umarła, myśląc i rozmawiając o szczęściu Błogosławionych.

Małżeństwo mieszane.

— Ojciec mój katolik, matka protestantka, dzieci wskutek małżeństwa katolickie. Ale jakiż cień pada na życie dzieci! Dwa kościoły są w tem miejscu; dzieci muszą patrzeć, że matka zawsze do innego kościoła chodzi jak ojciec. To mnie tembardziej boli, że życie rodzinne serdeczne i tkliwe.

Nadszedł czas, w którym mogłem pójść do pierwszej Komunii. Poczciwy ksiądz proboszcz niewymownie się trudził, aby nas jak najlepiej przygotować. Przed spowiedzią musiałem jak ks. proboszcz nakazał, rodziców przeprosić. Wielką nader trudność miałem przeprosić ojca, dlatego odkładałem tę rzecz bardzo długo. Jeszcze tylko godzina brakowała do czasu, w którym pójść miałem do kościoła, a jednak chodziłem niezdecydowany po sieni. Wtem wychodzi ojciec z izby i mówi:

— No, zdaje się, że masz jeszcze coś na sercu.

— Dzięki Bogu! — pomyślałem, ojciec już wie, czego ja chcę, i podałem mu rękę mówiąc:

— Idę do spowiedzi, ojcze przebacz!

— Dobrze, dobrze — przerwał mi uśmiechając się przychylnie — byłeś wprawdzie czasem niegrzeczny, ale nadal zawsze będziesz bardzo grzeczny. - Spraw się tylko bardzo dobrze!

Następnie udałem się do matki, która pracowała w komorze.

— Matko — rzekłem — ja idę teraz do kościoła, aby uczynić spowiedź z całego życia. Przebacz mi, żem tak był niegrzeczny i nieposłuszny. Ja...

Łzy mi stanęły w oczach. Matka wzięła mnie za rękę i przytuliła tak czule do serca, jak tego dawnego czasu już nie czyniła.

— Tylko się bardzo dobrze wyspowiadaj i módl się pobożnie także i za mnie; a na Wniebowstąpienie, gdy pójdziesz do Komunii św. jeżli P. Bóg pozwoli — te słowa ze szczególnym naciskiem wyrzekła — to i ja na twoje święto będę w waszym kościele.

Uradowany spojrzałem matce w jej miłe łagodne oczy. Uderzyła mnie wielka przeźroczysta bladość jej oblicza i po pierwszy raz przyszła mi myśl bolesna, że utracę tę dobrą matkę. Ale jakże mogłem się domyślać, że nam ją Pan Bóg tak prędko zabierze?

Było to w niedzielę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, wkrótce po obiedzie. Matka prawie nic nie jadła przy obiedzie i była bardzo blada i cicha. My dzieci siedzieliśmy przed domem na ławce. Naraz usłyszeliśmy głośny krzyk ojca. Wbiegliśmy do domu i obaczyliśmy matkę bladą jak chusta, krwią zalaną na łóżku, a ojca głośno płaczącego. Matka dostała silnego wybuchu krwi. Służąca posłała naprzód po lekarza a potem po pastora. Ten wkrótce przyszedł, stanął w pokoju, wyjął książkę z kieszeni i mówił głośno modlitwę, której treścią było zgadzanie się z wolą Bożą. Wszystko to było piękne i dobre, ale cóż pastor mógł więcej uczynić? Skończywszy, zamknął książkę, starał się ojca kilku słowy pocieszyć, a potem zabrał się i wyszedł. Wtedy to przyszły mi na myśl słowa św. Jakóba Apostoła, który mówi: Choruje kto między wami, niech wwiedzie kapłany Kościoła, a niech się modlą nad nim, pomazując go olejem w imię Pańskie: a modlitwa wiary uzdrowi niemocnego: a jeśliby w grzechach był, będą mu odpuszczone (Jak. 5, 14, 15).

W pierwszej chwili też myślałem zawołać naszego księdza proboszcza, ale nie miałem odwagi: ale zarazem przypomniałem sobie, co nam ks. proboszcz mówił o doskonałym żalu za grzechy. Pobiegłem do mojej sypialni i przyniosłem krzyżyk, który wisiał nad moim łóżkiem. Prosiłem tedy ojca, aby mi pozwolił przystąpić do matki. Ojciec popatrzył na mnie zdziwiony, ale mi pozwolił. Dałem matce krucyfiks do ręki otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie. Potem mówiłem powoli akt doskonałego żalu nachylając się, aby mnie lepiej zrozumiała. Widziałem też, jak poruszała ustami i powtarzała za mną słowa modlitwy. — Nagle, skoro ostatnie modlitwy słowo wymówiła, spostrzegłem, że rysy jej twarzy się zmieniły. Serdecznie przycisnęła krucyfiks do bladych ust swoich. Słyszałem jeszcze jak cicho wyszeptała: „O Jezu“ a dusza mej matki stała już przed Bogiem.

To było pierwsze, smutne przygotowanie moje do pierwszej Komunii. We środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, a zatem w przeddzień mej pierwszej Komunii, odbył się pogrzeb. Już nieraz przypatrywałem się protestanckiemu pogrzebowi, ale nigdy mi się tak niezmiernie zimnym nie zdawał jak teraz.

— O ty dobra matko, pełna dobroci serca. Jakże miłą dobrą i szczęśliwą byłabyś, gdybyś się była wychowała przy sercu naszej kochającej matki, św. Kościoła katolickiego, gdybyś była piła z bogatych źródeł łask, a osobliwie gdybyś tego w Jego domu umiała była znaleźć, który woła: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście a ja was ochłodzę!“ Ach, żaden z twych krewnych, którzy twą wiarę wyznają, nie będzie się teraz modlił za twą poczciwą duszę. Ale twe dzieci nigdy o tobie nie zapomną i modlić się będą za ciebie codzień, aby twa kochająca dusza odpoczywała w pokoju wiecznym u Boga.

Po wielu doświadczeniach przykrych we własnej rodzinie z powodu mięszanych małżeństw, zmieniłem mój zamiar poślubienia protestantki. Włosy moje już siwieją, moi koledzy śmieją się ze mnie, mówiąc, że zostanę starym kawalerem. Tego niewiem. Ale o tem mogę z całą stanowczością zapewnić, że jeżeli kiedy mam się ożenić, to z osobą, która tę samą co ja wiarę wyznaje, ze mną uczęszcza do kościoła i św. Sakramenta przyjmuje, a jeżeli mnie Bóg pierwej jak ją do siebie powoła, nawet po śmierci mej za mnie modlić się będzie.

Baron Binder Kriegelstein.

Baron Binder, urzędnik przy ambasadzie austryackiej w Monachium, był mężem pełnym pięknych zalet i niepospolitych zdolności. Dnia 2 lutego 1790 r. wpadł w ciężką chorobę, która mu niedaleką śmiercią groziła. Do boleści ciała przyłączyła się, według świadectwa lekarza, nieznośna bojaźń w duszy i smutek graniczący z rozpaczą. Gdy mu lekarz przedstawiał pociechy religii, odpowiedział szczerze, że on nie ma żadnej religii, ale dał się namówić, aby przyjął odwiedziny księdza G., proboszcza od świętego Piotra i z nim się o rzeczach wiary rozmówił.

Cały przebieg tych rozmów opisuje nam sam ksiądz G.

— Gdym 27 maja koło wieczora chorego odwiedził, on zaraz po wejściu mojem do pokoju, tak do mnie przemówił:

— Księże dobrodzieju! Nigdy mi odwiedziny twoje nie były tak pożądane, jak teraz. Mam ci wiele i ważnych rzeczy, ale bez świadków powiedzieć.

Obecni natychmiast wyszli z pokoju, a chory wzdychając, mówił dalej głosem smutnym:

— Ratuj mnie, ojcze duchowny, jeśli ratunek jeszcze możebny. Cierpię nieopisaną trwogę, zamięszanie i katusze serca; gdyby tak dłużej potrwało, nie mógłbym ich przenieść.

Gdym go o przyczynę tych katuszy zapytał, on z zaufaniem odpowiedział:

— Wszystko ci ojcze wyznam otwarcie, ale się nie przestrasz. Chociaż się narodziłem z gorliwych katolickich rodziców i w katolickim zakładzie naukowym gruntownie w nauce wiary zostałem wyćwiczony, stałem się pomimo to przed 12 laty wolnomyślnym, czyli raczej formalnym niedowiarkiem. Wierzyłem wprawdzie podług zgodnego świadectwa historyków, że przed dawnemi czasy żył człowiek, który się zwał Chrystusem; ale wiarę w Jego Bóstwo i tajemnice przezeń objawione uważałem za zabobony i baśnie. Otóż teraz powstaje w mej duszy między skłonnością do wiary i skłonnością do niewiary tak straszna walka, takie zamięszanie i trwoga, że jej opisać nie zdołam. Wyprowadź mnie ojcze z tego matecznika.

— Ta walka, ta bojaźń duszy — rzecze kapłan — jest nadzwyczajną łaską, przez którą Bóg chce pana znowu do wiary nawrócić. Ale powiedz mi pan, jak mogłeś przyjść do takiego stanu, pomimo katolickiego wychowania?

— Wyznam ci ojcze szczerze. Życie wolne i rozpustne i czytanie bezbożnych pism, przywiodły mnie do niewiary.

— Wierzę panu. Niewiara nigdy nie jest u katolika wykształconego w wierze, pierwszym grzechem ciężkim: zawsze inne grzechy i grzeszne nałogi torują mu drogę do niewiary. Człowiek, który ma jeszcze wiarę, nie może się puścić na bezdroża bez silnego niepokoju i dręczących wyrzutów sumienia. Przekonanie, że na wieczne kary piekła zasłużył, prześladują go wszędzie: nie da mu ani w dzień, ani w nocy spokoju. Jeśli jednak pomimo to grzeszyć nie przestaje, a przytem wątpić zaczyna o możności poprawy, to w niedługim czasie postara się o środki, aby uśpić budzące się sumienie i ukołysać je do fałszywego spokoju. Znurzeni natrętnemi wyrzutami sumienia, porywają się tacy grzesznicy na samego Chrystusa, na Jego objawienia i prawa. Poczynają zuchwale wątpić o Jego Bóstwie, o prawdzie Jego nauki, o przyszłym sądzie, o niebie i piekle: chcieliby sami w siebie wmówić i przekonać się, że to wszystko, co Kościół o Chrystusie naucza, jest tylko mamidłem, wymysłem księży, marzeniem wybujałej wyobraźni. Aby zaś niejako usprawiedliwić swe wątpliwości, zapoznają się z tak zwanymi wolnomyślącymi i ich pismami, chętnie słuchają ich dowcipów, szyderstw i bluźnierstw i pierwszy lepszy fałszywy dowód, wyrok jakiegoś półmędrka, nawet namacalne i oczywiste kłamstwa i oszczerstwa, za niezbite dowody przeciw prawdzie wiary katolickiej uważają. Unikają zaś starannie towarzystwa ludzi prawdziwie uczonych i pobożnych i pogardzają książkami i pismami, w których jak na dłoni wykazana jest głupota niewiary i prawda chrześcijańskiej religii. Jednem słowem: grzeszny chrześcijanin szuka spokoju i pociechy w niewierze, bo nie ma odwagi i dobrej woli żyć podług przepisów wiary. Niewiara jest tem wezgłowiem, na którem niedowiarek swe grzeszne życie przemarzy.

— Wszystko co do joty jest prawdą — rzekł baron. — Tak przynajmniej było ze mną, zupełnie tak samo. Namiętności haniebne i podłe uczyniły ze mnie niewiernego. Ale proszę dalej mówić. Bardzo chętnie słucham.

— Ponieważ pan odebrał katolickie wychowanie, nie będzie rzeczą trudną uczynić pana znowu wiernym katolikiem. Przypomnienie pierwszych zasad religii, wystarczy zupełnie. Wszakżeś pan wyznał, że nie wątpisz wcale o tem, iż Chrystus istniał.

— I teraz o tem nie wątpię. Ponieważ bowiem wiarygodni, równocześni pisarze opisują miejsce i czas Jego narodzenia i cały bieg Jego życia ze wszystkiemi okolicznościami, byłoby prawdziwą głupotą wątpić, że Chrystus kiedyś żył na świecie. Tem samem bowiem prawem możnaby wątpić o istnieniu cesarza Augusta, Cicerona, Karola V, albo Ludwika XIV. Lecz takie wątpliwości są istnem szaleństwem.

— Bardzo dobrze. Ależ ci sami historycy i to tacy, którzy żyli z Chrystusem, którzy Jego czyny na własne oczy widzieli, którzy za prawdę swej historyi życie oddali, ci sami, mówię, opowiadają o Chrystusie rzeczy nadzwyczajne, które wszystkich, co o nich słyszeli, w zdumienie wprawiły: świadczą wobec śmiertelnych wrogów Chrystusa o świętości Jego nauki, Jego życia, a nikt się nie poważył sprzeciwić ich świadectwu. Jeśli więc, panie baronie wierzysz w to, że Chrystus żył, to musisz też i w to wierzyć, co Jego równocześni historycy opowiedzieli o nauce, życiu i cudach Chrystusa.

— Tak jest i w to wierzę. Ale takie rzeczy, jak przynajmniej mówią, czynili i ludzie zwyczajni. Jakże więc z tych czynów można dowieść Bóstwa Chrystusowego?

Uczony kapłan począł tedy choremu wywodzić, jak to wszystko, co Ewangeliści o Chrystusie Panu opowiedzieli, już na kilkaset lat było przez proroków przepowiedziane i co do joty w Chrystusie się spełniło. Jak Chrystus sam na dowód swego Bóstwa cuda czynił, jak po wszystkie wieki chrześcijanie w imię Jezusa cuda czynili, jak nauka Chrystusowa tak trudna dla rozumu, a tak przykra dla namiętności ludzkich, pomimo to przyjęła się i pomimo ciągłych walk liczy miliony wyznawców i wciąż się rozszerza, jak tysiące męczenników za tę wiarę wśród najokropniejszych katuszy życie oddali.

Rzekł baron:

— Zwyciężyłeś mnie Ojcze. Wierzę w Chrystusa, w Jego bóstwo i Jego objawienie.

Aby zaś wiarę w nawróconym baronie jeszcze bardziej umocnić, mówił dalej ksiądz G.:

— Dajmy na to, że jakiś oszust wkradnie się do skarbca książęcego, ukradnie najdroższe klejnoty i zniknie. Natychmiast poszukują złoczyńcę. Nareszcie oczywiste dowody wskazują, że znany już i osławiony oszust jest sprawcą tej zbrodni. Cóż wtenczas czynią? Opisują go jak najdokładniej, podają jego imię i nazwisko, miejsce urodzenia, wiek, wzrost, rysy twarzy, narodowość, mowę, nawet szczególne znamiona, jako to: brodawki, blizny i tym podobne. Więc natychmiast śledzi policya i wkrótce znajduje człowieka, który te wszystkie znamiona, co do jednego posiada w zupełności, a nawet te, które go doskonale od podobnych ludzi wyróżniają. Panie baronie, czybyś pan w takim razie odważył się założyć z kim, choćby tylko o kilka talarów, że ten człowiek schwytany nie jest owym, który w ten sposób został opisany?

— O tak, musiałbym być albo głupim, albo rozrzutnym.

— Otóż, czy ci, co nie wierzą w Bóstwo Chrystusa Pana, nie są takimi głupcami i to, gdy nie idzie o kilka talarów, ale o skarby, które wartością swoją cały świat przewyższają? Chociaż im się jasno, jak na dłoni dowodzi, że w Chrystusie znajdują się co do joty wszystkie znamiona, na które już naprzód wskazywali prorocy; chociaż On, nie mówiąc o świętości nauki i życia Jego, działał cuda bez liczby i to te właśnie, które prorocy przepowiedzieli: chociaż ślepym wzrok, niemym mowę, chromym chód wracał, chociaż jednem skinieniem swej woli umarłych wskrzeszał; chociaż wszystkie okoliczności swej męki i rodzaj swej śmierci i zmartwychwstanie swe przepowiedział; chociaż pokonawszy śmierć, przez czterdzieści dni widocznie na ziemi przebywał, a potem do nieba wstąpił, skąd wedle obietnicy swej Ducha świętego zesłał, a Apostołów swoich tak nie do pojęcia zmienił, że ich uczynił najdzielniejszymi opowiadaczami Bóstwa swego: chociaż ci przez cuda w Jego imię zdziałane, świat w występkach pogrążony Jego prawu poddali: chociaż tysiące tysięcy dzielnych wyznawców Bóstwo Chrystusa i boskość Jego nauki nowymi cudami i krwią własną zatwierdzili; chociaż nareszcie królestwo Chrystusowe na ziemi, Kościół święty, wśród licznych i gwałtownych napadów ze strony świata i piekła, ciągle jeszcze stoi silnie i wciąż się rozrasta: pomimo to niedowiarkowie nie o kilka tala-

rów, ale o własną duszę i własne zbawienie się zakładają, że wszystko, co Kościół o Bóstwie Chrystusa i Jego objawieniach naucza i głosi, jest kłamstwem, oszukańtstwem i czczą baśnią!

— Taki zakład — odrzekł baron — jest nie do opisania głupi i szalony; strata, jaką taki zakład za sobą pociąga, jest nieskończona i bezpowrotna; trwa wiecznie. Drżę, gdy wspomnę na mój nierozum. Gdyby mi Bóg w takim stanie kazał był umrzeć, gdzieżbym był teraz? Ale czyż ksiądz proboszcz myśli, że ja mógłbym jeszcze znaleźć łaskę u Boga, któregom tak często i tak ciężko obrażał?

Gdy zaś ksiądz G. zapewnił go o tem i pocieszał, oświadczył natychmiast chory, że chce spowiedź najszczerszą odprawić.

Na drugi więc dzień z najwyższem uczuciem żalu i skruchy odprawił spowiedź, a następnie przyjął Najświętszy Sakrament. Po Komunii św. rzekł spokojnie i z poddaniem się:

— Teraz nie lękam się śmierci. O gdyby tu wszyscy niewierni byli przytomni! Jakżebym ich jasno przekonał, że tylko prawdziwa wiara, spokojne sumienie i połączenie z Bogiem, prawdziwy spokój i zadowolenie przynosi.

Następnie polecił żonie swej, aby dwoje małych dziatek jak najstaranniej wychowywała w jedynie zbawczej religii katolickiej.

— Mając ten skarb — rzekł — będą dość bogate. Wszystko inne przeminie i jest próżnością.

Na trzy dni przed śmiercią prosił, aby mu na nagrobku następujący wyryto napis:

„Tu leży 12 lat niewierzący, który na łożu śmiertelnem przez szczególną łaskę Bożą stał się znowu wierzącym; a po swem nawróceniu pełen pociechy, śmierci wyglądał“.

Zaraz potem zwrócił się ku mnie — pisze ksiądz G. i rzekł:

— I ciebie, księże proboszczu, proszę jeszcze raz szczerze, abyś moje nawrócenie ku chwale Bożej, ku naprawieniu danego zgorszenia, ku nawróceniu niewiernych ustnie i pisemnie ogłosić raczył. Niejeden mnie za ten krok uważać będzie za bigota i głupca; ale niech im ksiądz proboszcz każe w mojem imieniu powiedzieć: że oni są zaślepionymi i ludźmi małego ducha, którzy nie mają dość siły, by swe namiętności pokonać i wyższymi się okazać nad szyderstwa i przycinki podobnych im głupców.

Odtąd jedynem jego staraniem było przygotować się na bliski koniec życia.

— Mogę zapewnić słowem kapłańskiem — pisze ksiądz G. — żem jeszcze nigdy nie widział człowieka, któryby z taką skruchą i żalem, z takiem pragnieniem połączenia się z Bogiem, umierał.

Z działalności K. B. K.

Utworzony pod koniec 1914 r., kiedy zawierucha wojenna najsrożej po ziemiach polskich szalała, Książęco-Biskupi Komitet miał za zadanie łagodzenie klęski, ulżenie niedoli i leczenie ran, zadawanych wojną. W tym celu starał się, ile sił, nakarmić głodnych, przyodziać obdartych i bosych, leczyć choroby, tępić zarazy przygarnąć sieroty, nieść pomoc wysiedlonym, o dach zabiegać dla bezdomnych.

Rozszerzając swą działalność śladem świeżych pobojowisk, K. B. K. założył po kraju 70 delegacyi, nie tylko celem niesienia pomocy doraźnej, lecz również celem organizowania pomocy i opieki stałej. Z pośród tych delegacyi, trzy główne, a mianowicie: tarnowska, przemyska i lwowska, oparte o K. B. K., z jego pomocą rozwinęły szeroko zakreśloną działalność samodzielną, z której ogłoszą sprawozdania własne. W ścisłym również stosunku pozostał K. B. K. z Komitetami Ratunkowymi w Warszawie i Lublinie, wspomagając je tak funduszami, jak współdziałaniem.

Nie wliczając sum, wydanych na pomoc ofiarom wojny przez wyż wymienione delegacye samodzielne, K. B. K. wydał na ten cel:

na Galicyę	K 3,120.000
na Królestwo, Warszawę i Litwę	„ 2,378.000
Razem	K 5,498.000

Zużycie takich wielkich sum na powyższe cele było możliwem dzięki znacznym funduszom, jakimi zasilał K. B. K. Generalny Komitet Szwajcarski w Vevey.

Bezpośrednio z Krakowa rozpościerała się na cały kraj, w porozumieniu i z pomocą c. k. Namiestnictwa i c. k. Jenerał-gubernatorstwa lubelskiego akcya sanitarna.

Najpierw, z osobistej inicyatywy ks. Biskupa krakowskiego, powstały Kolumny sanitarne, mające za zadanie tępić po całym kraju epidemie, a przedewszystkiem tyfus plamisty. Ruchome Kolumny sanitarne z lekarzami, pielęgniarkami i całem urządzeniem szpitalnem, udawały się do ognisk zarazy i, zwalczając ją, zazakładały szpitale kolejno w miejscowościach następujących:

W Galicyi: Powiat Cieszanowski: Zapałów, Sucha Wola, Ruda Rożaniecka, Miłków, Narol, Stare Sioło. Powiat Łańcucki: Łańcut, Rakszawa, Albigowa. Powiat Niski: Jeżowe, Rudnik, Kamień.

W Królestwie: Powiat Wierzbnicki: Pętkowice. Powiat Sandomierski: Zawichost. Powiat Lubelski: Jaszczów, Piaski. Powiat Krasnostawski: Wygnanowice.

Obecnie działają jeszcze szpitale w Królestwie: Powiat Opatowski: Ćmielów, Opatów, Łagów. Powiat Biłgorajski: Tarnogród. Powiat Zamojski: Radecznica.

W szpitalach Kolumn sanitarnych K. B. K. leczyło się chorych 2.000, a dni leczenia było w nich ogółem 40.000.

Dalszym krokiem Sekcyi sanitarnej K. B. K. było zorganizowanie i przeprowadzenie szczepienia ochronnego przeciw ospie. Rozpoczęte w r. 1915 dzięki dopiero czynnej pomocy Wszechnicy Jagiellońskiej szczepienie mogło w r. 1916 przybrać rozmiary, odpowiadające grozie epidemii. Wyszkolone i wyekwipowane przez K. B. K. setki młodzieży uniwersyteckiej rozjechały się po kraju i zaszczepiły w Galicyi około 2,000.000 a w Królestwie około 400.000 osób.

Koszta całej akcyi sanitarnej, uwieńczonej powodzeniem zupełnem wyniosły ogółem K 1,400.000.

Również cały kraj obejmowała działalność krakowskiej Szatni K. B. K., która potrzebującym dotąd rozdała bezpłatnie sztuk odzieży i par butów z górą 160.000, a prócz tego po cenie kosztów dostarczyła im obuwia za K 220.000 a odzieży i materyałów za K 190.000.

Celem opieki nad dziećmi, K. B. K. powołał do życia w zachodniej Galicyi własne zakłady w Krzeszowicach, w Łososinie, w Kalwaryi, Nowym Targu i Krakowie i umieścił w nich 238 dzieci. W innych 26 zakładach prywatnych umieszczono kosztem K. B. K. 546 dzieci, a 850 sierot powierzono opiece rodzin zasługujących na zaufanie i stale kontrolowanych.

Prócz tego K. B. K. subwencyonował 120 zakładów opiekujących się dziećmi.

Dla złagodzenia niedostatku żywności w okolicach wojną nawiedzonych, krakowska Sekcya aprowizacyjna K. B. K. sprowadziła maki, kaszy, grochu, słoniny, smalcu, śledzi, mleka kondensowanego itp. za koron 1.600.000 i tych artykułów spożywczych rozdała za darmo za K 400.000 a resztę sprzedała po cenie kosztu.

Celem dostarczenia ludności taniej odzieży i obuwia, K. B. K. utrzymuje lub subwencyonuje w Krakowie następujące zakłady:

Fabrykę tanich ubrań.
Fabrykę obuwia półdrewnianego.
Fabrykę podeszew drewnianych, oraz
Trzy szwalnie bielizny i odzieży.

Na wszystkich tych polach działalności K. B. K. robota jest w pełnym toku i nie mogłaby być ograniczoną ani też tem bardziej zatrzymaną bez dotkliwej straty powszechnej. Co więcej, powstające ustawicznie coraz to nowe potrzeby palące sprawiają, że działalność K. B. K. obejmować musi coraz to nowe dziedziny.

I tak K. B. K. wszedł w porozumienie z c. k. Centralą odbudowy kraju i uzyskawszy poważny kredyt przystąpił do odbudowy niektórych gmin powiatów wielickiego i brzeskiego. Komitet zapewnił sobie już około 5000 m. kub. drzewa budulcowego jak również odpowiednią ilość robotników i liczy, iż w ciągu r. 1917 będzie mógł dostarczyć ludności poważną ilość domów, zarówno mieszkalnych jak gospodarczych.

Również nie mógł się cofnąć przed wdrożeniem kroków celem objęcia opieki nad wysiedlonymi, dając im pomoc doraźną i organizując rozdawnictwo odzieży i obuwia.

Dalsza praca w wytkniętym kierunku i dalszy rozwój działalności K. B. K. zależy w znacznej mierze od poparcia jakiego K. B. K. dozna od społeczeństwa.

Wielkie zadania, jakie K. B. K. ma jeszcze przed sobą do spełnienia, wymagają też wielkich środków.

Tydzień K. B. K.

Trzeci już rok mija od czasu jak rozpoczęły się zapasy wojenne. Przez prawie całą Polskę przesunęła się straszliwa fala bojów; tysiące naszych braci znosi śmiertelne trudy w armiach walczących a młodzież nasza złożyła krwawą ofiarę w armii i w Legionach. Zaś poza tym, pełnym bohaterstwa i smutku frontem bojowym, pozostał kraj spustoszony wojną a okryty żałobą, pozostał ogrom cierpień i nędzy.

Dał nasz naród nieraz dowody, że umie walczyć i znosić te konieczności, jakie za sobą prowadzi krwawa służba wojenna. Ale powinien też zdobyć się na to, by nie dać zginąć bez ratunku tym słabym, którzy poza frontem muszą znosić najcięższe wojny następstwa.

I to drugie zadanie, to jest ochrona i ratowanie od zagłady tych, którzy sami nie walczą, lecz na których skutki wojny najbardziej się odbijają, stało się celem pracy Książęco-Biskupiego Komitetu pomocy dla dotkniętych klęską wojny.

Książęco-Biskupi Komitet (K. B. K.) powstał w chwili, kiedy w kraju prawie żadne stowarzyszenie nie mogło działać. Dziś stosunki się zmieniły. Powstało wiele nowych dzieł dobroczynnych, starających się zaradzić niezliczonym potrzebom wywołanym przez wojnę. Mimo to zdaje nam się, że potrzeba, byśmy bez przerwy nadal pracę naszą prowadzili.

Na to jednak musi nasze usiłowania poprzeć społeczeństwo, tak życzliwością, którą zresztą dotąd cieszyliśmy się, jakoteż wydatną pomocą materyalną.

Uprosiliśmy Najprzewielebniejszych Księży-Biskupów, by w dniu drugiego lutego b. r. zarządzili w wszystkich kościołach składki na Komitet Książęco-Biskupi. Prosimy też wszystkich, którym cele naszej pracy nie są obojętne, by w tym dniu lub w najbliższym tygodniu (od 2go do 10 lutego) pospieszyli z hojnemi ofiarami.

I w tej też chwili, wobec rosnących ciągle potrzeb kraju naszego udajemy się do wszystkich ludzi dobrej woli i do każdego z osobna z prośbą o ofiarę.

Jesteśmy pewni, że nasz naród, który tyle siły okazał wśród tak ciężkich przejść, teraz, ratując szczodrą ofiarą własnych braci, tem dziełem samopomocy udowodni, że jest zdolny do samodzielnego życia i ma prawo stanąć na równi obok innych narodów świata.

Książęco-Biskupi Komitet
† **Adam Sapieha**
Książę Biskup Krakowski
Przewodniczący.

Dobrowolne datki przyjmują: Książęco-Biskupi Komitet w Krakowie ul. Wolska 3. Książęco-Biskupi Konsystorz w Krakowie ul. Franciszkańska 3.

„Wielki Boże! wszak to Jezus!"

Jenerał baron Geramb, później Trapista, opowiada w swoim dzienniku następujące zdarzenie:

Napoleon I., ów bicz Boży, posuwał się na czele swego zwycięskiego wojska przez dymiące zgliszcza do Włoch pod główne miasto X. Monarcha tam rezydujący opuścił je, gdyż ocalenie i pokój ludu więcej dlań miały znaczenia, jak sława beznadziejnej obrony swej rezydencyi. Na drugi dzień i ja opuściłem rezydencyę na czele korpusu, którym dowodziłem. Marsz trwał całą noc. Gdy dnieć zaczęło, kazałem odpocząć i rozmawiałem z oficerami. W tem zdało mi się, jak gdybym widział kilka osób idących ku mnie i jakobym słyszał głos dzwonka. Zbliżyłem się i spostrzegłem nędznie odzianego, czcigodnego kapłana z siwemi włosami. Dwaj wieśniacy szli przed nim z odkrytą głową, pomimo trzaskającego mrozu. Jeden z nich dzwonił od czasu do czasu, a drugi niósł latarnię. — Wielki Boże! zawołałem — wszak to Jezus!

Daremnie siliłbym się opisać, jakie uczucia na ten widok w mem sercu powstały na widok Zbawiciela, którego tak dawno już zaniedbałem, o którym tak niegodnie zapomniałem.

Był to Jezus, którego niesiono do chorego, Jezus, którego Najświętsze Imię na łonie matki uczyłem się wymawiać, Jezus, którego w mem dzieciństwie tak często i serdecznie wzywałem.

Zsiadam z konia, rzucam się na kolana: oddaję cześć Wszechmocnemu, Bogu i Zbawicielowi. Następnie zbliżam się do kapłana i mówię doń.

— Proszę Waszej Wielebności pozwolić nam towarzyszyć Najśw. Sakramentowi. Ruchy, jakie każę wojsku wykonać, niech waszą Wielebność nie dziwią; będą one wykonane, aby Jezusowi, królowi królów, cześć należną oddać.

Wydałem rozkazy i natychmiast czcigodny kapłan, co niósł Najwyższego, otoczony oficerami, w towarzystwie całego regimentu udał się do poblizkiej wioski.

Położenie moje nie da się opisać. Jechałem przy boku Jezusa, mego Boga i Zbawiciela, który mnie tylu

dobrodziejstwami obsypał, którego łaskawości jednak tak często nadużyłem. Wspomniałem sobie na szczęśliwe dni mego dzieciństwa, które zanadto szybko minęły. Jezus był wtenczas głównym przedmiotem mojej miłości; książka, która mi opowiadała o Jezusie, była mą książką ulubioną; Imię Jezus wymawiać było moją najwyższą rozkoszą. Każdy ubogi, każdy nieszczęśliwy, każda istota cierpiąca przypominała mi Jezusa. I przed mą duszą stanął obraz owego cudownego dnia, w którym ze świecą w ręku, w świątecznej szacie, prowadzony od mego cnotliwego nauczyciela, wszedłem do kościoła i po pierwszy raz, z sercem pełnem świętego uszanowania i miłości, mego Boga przyjąłem.

Ach, niestety! dzień ów przeminął jak sen! I gdy wzrok mój obróciłem na siebie, zapytałem się z trwogą, co się stało z owemi czasami niewinności i szczęścia, co się stało z pięknem dziełem Bożem, z duszą na Jego obraz stworzoną? Czemem miał zostać? A czem zostałem!

Łzy mi się z oczu puściły.

Tymczasem szliśmy w milczeniu poważnem; nie było słychać nic prócz stąpania koni i odgłosu trąbki. Skorośmy przybyli do wsi, wstąpiłem z kapłanem do domu dość okazałego. Na łożu boleści leżał starzec, domownicy klęczeli naokoło niego.

Starcem był dawny oficer, który sobie na cześć i sławę zasłużył, a teraz pełen nadziei i miłości wyglądał przyjścia swego Zbawcy.

Na nas spojrzał wzrokiem pełnym zdziwienia i wdzięczności.

— Mój miły bracie — rzekł doń kapłan — poważne i wspaniałe jest wprawdzie towarzystwo wojskowe, w którem jak widzisz, Pan wszelkiej wielkości i majestatu przychodzi, aby ci się udzielić, ale przecież niejest to Pan zastępów, którego ci przynoszę, lecz Bóg pokoju. Rzuć się więc, kochany bracie w objęcia tego Boga miłości, ofiaruj Mu zdobyte wawrzyny i cierpienia i mów doń z głębi duszy: Moja nadzieja, o Panie, polega na Twem krzyżu. Oddaję życie me w Twe ręce i zdaję się zupełnie na Twoją wolę. Jeśli mi zaś zechcesz jeszcze kilka dni życia na tym łez padole użyczyć, to Ci je wyłącznie, najdroższy mój Panie, poświęcę, abym mógł nagrodzić te dni, które z dala od Ciebie przeżyłem!

Rzekł, podał choremu Zbawiciela i Boga pokoju i miłości. Gdy ta wzniosła ceremonia się skończyła, rzekł kapłan do konającego:

— Teraz podziękuj, miły bracie, tym panom, a jeśli ci siły pozwalają, powiedz im kilka słów ku zbudowaniu.

Chory spojrzał na nas, wzniósł oczy ku niebu, przycisnął krucyfiks do serca, pocałował P. Jezusa i rzekł często przerywanym głosem:

— Moi panowie! w owej strasznej chwili kiedy namiętności milczą, kiedy wszelka sława w nic się rozpada, a człowiek głęboko odczuwa, że wszystko jest próżnością, oprócz miłować Boga i Jemu służyć, skłoniło marszałka Luksemburga, jednego z największych wodzów, jakich Francya posiadała, bolesne przeświadczenie, że lepiej i gorliwiej służył królowi, jak Bogu, do wyrzeczenia tych pamiętnych słów: Dziś wolałbym zamiast chwały tylu zwycięstw, które mi przed tronem Sędziego wszystkich królów i rycerzy nic nie pomogą, zasługę, żem ubogiemu dla miłości Jezusa podał szklankę wody.

Te słowa wywarły na nas głębokie wrażenie. Ale, ach, nie minęło dwa tygodnie, a już o wszystkiem zapomniałem; na nowo obrażałem wieczną Dobroć, na nowo szydziłem z miłości Tego, który swoją Krew i swe życie za mnie oddał.

Jednak sumienie, ten świadek, którego zawsze przy sobie nosimy, wyrzucało mi moją niewdzięczność ku Bogu. Strach jakiś owładnął mą duszą, zewsząd cisnęły się do wyobraźni mej ponure obrazy. Gdym leżał na łóżku, zdawało mi się, jak gdyby blada śmierć szła do mnie; dokładnie liczyłem jej kroki, widziałem, jak się nade mną schylała i na mnie przy blasku swej pochodni spoglądała, — czułem jej rękę zimną jak lód, woniałem jej zapach śmiertelny, słyszałem łoskot jej kości — włosy mi stawały na głowie. Zdawało mi się, że jakby na nitce zawisłem nad straszną przepaścią. Widziałem ów ogień, co go tchnienie Wszechmocnego w swem gniewie wznieciło, i myślałem, że już wpadłem między potępionych, na mem czole krwawemi głoskami napisane były słowa: Bez nadziei!

Zdawało mi się, jak gdybym co chwila słyszał anioła śmierci, wołającego: Na wieki gorzeć będziesz! a echo piekła powtarzało to wołanie!

Na pół martwy z przerażenia, wzniosłem me ręce ku niebu i wołałem w rozpaczy: A więc utraciłem Boga mego; a więc Go nigdy nie obaczę! Nigdy już nie obaczę Tego, który mi się pozwolił słodkiem mianem Ojca nazywać! Nigdy więc nie ujrzę Królowej Nieba, Maryi, ukochanej Matki? nigdy nie mam się cieszyć szczęściem Jej obecności, nigdy niebiańskiej Jej piękności, Jej słodkiego oblicza oglądać i podziwiać? Na wieki mam być pozbawiony widoku Jej Boskiego Syna, który tak długo, ach, tak długo... Łkanie nie dało mi dalej mówić, gdym pomyślał o Tym, którego imienia wymówić nie śmiałem!

Lecz któż to jest, co przychodzi, aby głęboko upadłego, zbrodniami pokrytego przycisnąć do serca wśród tysiącznych dowodów miłości i tkliwości? Któż ty jesteś? daj mi rysy swej twarzy oglądać! — Wielki Boże! wszak to Jezus!

Tak, to był Jezus! Jezus, ten nieporównany przyjaciel, co zawsze zostaje ten sam, a który nas, gdy my Go porzucamy, nie porzuca, lecz naprzeciwko nas wychodzi i szuka zgubionych. Był to Jezus, był to słodki głos najlepszego Ojca, który słyszałem, był to Jezus dobrotliwy, który mi jeszcze Serce swe ofiarował, bym w niem złożył swe łzy, mą boleść, moją skruchę. Był to Jezus, za którym odtąd na wieki iść pragnę.

O Jezu! o mój Panie i Oblubieńcze mej duszy! Jeślibym o Tobie miał zapomnieć, niech zapomnianą będzie prawica moja! niech przyschnie język do podniebienia mego, jeśli do ostatniego tchu życia mego nie będziesz jedynym przedmiotem mej radości i pieśni pochwalnej!

Chrzest Wiktoryna

Wiktoryn sławny mowca, był w Rzymie nauczycielem krasomówstwa. Z zapałem oddawał się naukom wyzwolonym, do których miał wiele zdolności; czytał, badał i wyjaśniał prawie wszystkie dzieła starożytnych filozofów, był jednym z najznaczniejszych senatorów rzymskich, nakoniec tak się wsławił, że w dowód uznania wzniesiono mu pomnik na publicznym placu w Rzymie, co uchodziło za największy zaszczyt, jakiego człowiek mógł dostąpić. Lecz jeszcze był poganinem i gorliwym czcicielem bożków, a wymową swoją cześć tę rozszerzał między uczniami.

Jakiejże łaski było potrzeba, aby wzruszyć i nawrócić to serce? Oto środek, którego Bóg użył. Wikto-

ryn czytał Pismo święte i inne dzieła o religii chrześcijańskiej, a po gruntownem poznaniu ich, powiedział raz poufnie do św. Symplicyusza:

— Ważną wiadomość ci zwiastuję, jestem chrześcijaninem.

— Nie wierzę temu, odpowiedział św. Symplicyusz; i nie uwierzę, że jesteś chrześcijaninem, dopóki cię nie ujrzę w kościele, gdzie się zgromadzają wierni.

— Jakto? — odpowiedział Wiktoryn — czy to dopiero w obrębie muru kościelnego jest się chrześcijaninem?

Zawsze, ile razy upewniał, że jest chrześcijaninem, św. Symplicyusz powtarzał to samo, a Wiktoryn odpowiadał tym samym sposobem żartobliwym.

Wstrzymywała go od jawnego wyznania bojaźń rozdrażnienia pogan, których zemsta srodze dosięgnąćby go mogła; ale w końcu odwaga i wspaniałomyślność przyszły mu w pomoc, wrażenia otrzymane z czytania dzieł świętych odniosły zwycięstwo nad jego sercem, zrozumiał, że byłoby występkiem wstydzić się prawdy chrześcijańskiej, a nie wstydzić się zabobonów pogańskich i świętokradzkich.

Pewnego dnia odważył się powiedzieć św. Symplicyuszowi, który się wcale tego nie spodziewał:

— Chodźmy do kościoła! postanowiłem nietylko być, ale i jawnie okazać, że jestem chrześcijaninem.

Uszczęśliwiony tem św. Symplicyusz, zaprowadził go natychmiast i zapisał do rzędu tych, którzy o Chrzest prosili. Rzym był zdziwiony i uniesiony radością, która była udziałem całego Kościoła, z powodu głośnej sławy i wziętości, jakiej używał ten wielki człowiek.

Nareszcie nadszedł szczęśliwy dzień, przeznaczony na Chrzest św. Było zwyczajem Kościoła rzymskiego, czynić wyznanie wiary przed Chrztem w słowach odmawianych na pamięć i głośno w obecności wiernych. Kapłani nie chcący go narazić na prześladowanie pogan, radzili mu uczynić to prywatnie, ale Wiktoryn chciał wyznać głośno i publicznie naukę niebieską, mającą doprowadzić go do zbawienia. Zaledwie ukazał się na trybunie, nagłe uniesienie radości rozniosło imię jego po całem zgromadzeniu, a chociaż każdy miarkował swój głos, przez uszanowanie dla świętego aktu i miejsca, to jednak ze wszystkich stron słychać było, jak nieraz wymawiali jego imię. Wszyscy ucichli aby go słyszeć, a on pełen świętej odwagi, wymawiał głośno i wyraźnie prawdy naszej Wiary i odpowiadał na wszystkie pytania, poprzedzające Chrzest święty. Całe zgromadzenie chrześcijańskie zespoliło się w jednem żywem uczuciu radości z jego nawrócenia, które miało wielkie następstwa; a św. Augustyn, słysząc opowiadanie św. Symplicyusza, wyznał, że uczuł wielkie pragnienie wstąpić w ślady Wiktoryna, co wkrótce uskutecznił składając wyznanie wiary w ręce św. Ambrożego, a mając za ojca chrzestnego św. Symplicyusza.

(Wyjątek z wyznań św. Augustyna).

„Łzy świętego Wawrzyńca“

W czasie pogodnych nocy widzi się często „spadające gwiazdy“. Zdaje się wtedy patrzącemu, że z niebieskiego stropu urwała się gwiazda i spada na ziemię, albo leci gdzieś w niezmierzone przepaści przestworza. Jestto czyste złudzenie. Te gwiazdy bowiem, które widzimy na niebie, są daleko większe od ziemi; niektóre z nich przewyższają swoją wielkością nawet słońce. Gdyby zatem jaka gwiazda spadła rzeczywiście na ziemię, toby z ziemi nic nie zostało; gwiazda ogromem swoim starłaby ziemię w proch a żarem swoim ten proch do cna spaliła. Tymczasem tyle tych gwiazd ciągle leci, a ziemi nic się złego nie dzieje. Czemu to?

Przyczyna tego jasna. Owe „spadające gwiazdy“ nie są wcale prawdziwemi gwiazdami. Są to wielkie, rozpalone bryły z kamienia i żelaza. Te rozpalone bryły nazywamy „meteorami“. Takich kamienisto-żelaznych brył pełno się włóczy po przestworzu, między ziemią, słońcem a gwiazdami. Są to odłamki z różnych gwiazd. Tam, w przestworzu, gdzie niema powietrza są te bryły zimne i nie świecą. Rozpalają się i zaczynają świecić dopiero wtedy, gdy wpadną w warstwę powietrza ziemi. Ziemia bowiem, jak i słońce i każda gwiazda ciągnie wszystko ku sobie. Każde zaś z tych ciał ma swoją przestrzeń tego działania. Wielkość zaś tej przestrzeni zależy od wielkości ciała. Słońce przyciąga na większą odległość, aniżeli ziemia; jest bowiem od ziemi znacznie większe. Tak samo każda gwiazda: im większa, tem dalej sięga swoją siłą przyciągania. Na tej zasadzie wytworzyły się między ciałami niebieskiemi jakby „obszary panowania“. Każde z nich panuje swą siłą w pewnym obrębie: większe w większym, mniejsze w mniejszym. W czyj więc obręb taka kamienista bryła się zabłąka, do tego ciała potem należy; ono ją ściągnie ku sobie.

Gdy zatem meteor wejdzie w obręb „panowania“ ziemi, staje się jej własnością. Ulegając bowiem jej sile przyciągania, zaczyna ku niej gwałtownie spadać. I wtedy się dopiero rozżarza i poczyna świecić. Spadając bowiem ku ziemi, dostaje się w warstwę powietrza; między lecącą bryłą, a powietrzem, powstaje wtedy wielkie tarcie; z tego tarcia zaś wytwarza się ogień. Rzecz to zwyczajna; trzyj kamień o kamień, to z zimnego głazu wylecą iskry. Gdy komu zimno w ręce, trze jednę o drugą i wnet mu ciepło. Chłop smaruje osie u wozu, by uniknąć tarcia; inaczej bowiem drewniana oś nie tylko się zetrze, ale i zapali. Tak samo w powietrzu. Wydaje się ono wprawdzie miękkie. Stawia ono jednak opór. Czuć ten opór gdy się ręką ruszy; a jeszcze więcej, gdy się szybko biegnie, albo jedzie. Ten opór, to tarcie między powietrzem a ciałem, które je przecina. Im zaś szybciej to przecinanie powietrza następuje, tem większy ono stawia opór, czyli tem większe powstaje wtedy tarcie. Meteor pędzi przez powietrze z szaloną szybkością: stąd wytwarza się między nim a powietrzem wielkie tarcie. Nic też dziwnego, że wskutek takiego tarcia rozżarza się owa kamienno-żelazista bryła. Im więcej takiego pędu, tem też więcej gorąca w tej bryle się tworzy. To też niektóre jej części całkowicie się topią, a roztopione nawet parują. Stąd nieraz widać, że taka gwiazda spadająca ciągnie za sobą piękny, płomienisty ogon. Jestto ów gaz rozżarzony, który pod wpływem gorąca z owego kamienia się tworzy. Toteż nieraz bywa, że nim taka gwiazda na ziemię spadnie, cała się spali i ulotni. Czasem jednak obtopi się tylko z wierzchu i z hukiem spada na ziemię. Po muzeach, w większych miastach, n. p. w Wiedniu, można takie kawałki spadłych meteorów oglądać. Są to wielkie, bezkształtne bryły, które ważą czasem po kilka cetnarów.

Tak to rozumem i doświadczeniem zbadali ludzie te dziwa przyrody. Choć się je jednak rozumie, budzą one zawsze swym widokiem w człowieku poczucie jakiegoś lęku i uwielbienia dla Stwórcy. Nigdzie bowiem wszechmocnej ręki Bożej tak jawnie się nie widzi, jak w owych dziwach gwiaździstych na niebie. To też prostoduszny, a pobożny nasz lud rad wiąże owe dziwne zjawiska z religią. Tak „meteory“ nazwano u nas dawno „łzami świętego Wawrzyńca“. Najwięcej bowiem

tych gwiazd spadających zjawia się w sierpniu. Wtedy zaś (10 sierpnia) obchodzi Kościół św. pamiątkę jego męczeństwa. Kiedy prowadzono na śmierć biskupa Xystusa, któremu Wawrzyniec, jako dyakon posługiwał, święty młodzieniaszek zalał się łzami i wołał: „Dokąd idziesz, ojcze, bez syna? dokąd podążasz, święty kapłanie, bez swojego sługi? Nigdyś nie składał ofiary beze mnie! Co ci się we mnie nie podoba? Powierzałeś mi przy ołtarzu szafarstwo krwi Chrystusowej, a teraz odmawiasz współudziału w przelaniu krwi twojej? Weź mię, ojcze, z sobą!“ — Tak mówił i rzewnie płakał Wawrzyniec, bo Jezusową miłością gorzał i dla tej miłości żądzą męczeństwa pałał. „Za trzy dni podążysz za mną“, odrzekł mu biskup. I tak się stało. Trzeciego dnia umęczono świętego młodzieniaszka na żelaznej kracie. I znowu wtedy łzy lśniły w jego oczach. A nie były to łzy bólu, jeno łzy radości, iż męką i śmiercią świadectwo wierze świętej daje. To też te łzy świętego męczennika w jasne gwiazdy się przemieniły — i w święto jego na ziemię spadają.

Tak sobie opowiada o spadających gwiazdach pobożny lud polski.

Nierówny podział.

Najmłodwszy brat św. Bernarda był wprawdzie dzieckiem co do wieku, ale mową swą i czynem, niejednego męża dojrzałego przewyższył. Już był św. Bernard wyrzekł się świata i próżności jego, a przykładem swoim i miodopłynną wymową trzydziestu młodzieńców z najzacniejszych rodzin do życia zakonnego zachęcił. Nawet pięciu braci swoich, którzy mu odradzali tego kroku, do porzucenia marności ziemskich namówił. Został tylko najmłodszy brat Niward. Temu więc postanowili odstąpić cały swój znaczny majątek, a sami porzuciwszy rodziców, dom i bogactwa ziemskie, udali się w podróż do klasztoru. Przy pożegnaniu, które jak można domyśleć się, było bardzo rzewne, rzekł Bernard do Niwarda:

— Bądź zdrów, najmilszy braciszku! My idziemy do klasztoru i postanawiamy cię dziś dziedzicem domu i całego majątku. Ciesz się, Niwardzie, do ciebie samego cały nasz majątek należy!

A Niward odrzecze śmiało:

— Jakto? Wasze ma być niebo, a moja ziemia? To nierówny podział. Myśmy bracia i mamy tego samego ojca, więc i w podziale dóbr równi być musimy. Wy jednak chcecie mieć niebo z wiecznemi dobrami i bogactwami, a mnie ma nędzna ziemia z tym lichym domem przypaść w podziale? Nie, nie! bracia moi, to nie uchodzi, to nierówny podział: ja nie chcę ziemi: niech ją ten bierze, komu się ona bardziej podoba! Wy, moi bracia, szukacie nieba i ja go chcę szukać; wy porzucacie dom waszego ziemskiego ojca, abyście po śmierci w najpiękniejszym i najbogatszym domu Bożym mieszkać mogli: tego właśnie i ja pragnę i pójdę z wami do klasztoru. Żegnaj mi świecie, żegnaj: ja pragnę nieba, jak moi bracia!

Jak rzekł, tak uczynił i poszedł za przykładem swych braci.

Czy cię nie zawstydza ten chłopczyna, który tak doskonale rozumiał wartość nieba?

Szczera spowiedź.

Do świętego Ludwika Bertranda przyszedł raz we Walencyi spowiadać się wielki grzesznik. Za każdem ciężkiego grzechu wyznaniem, patrzał w twarz spowiednikowi pilnie i przenikliwie, lecz ku niemałemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że oblicze spowiednika staje się coraz pogodniejszem i łagodniejszem, i że spowiednik słuchając tylu i tak ciężkich występków, bynajmniej się nie zasępia.

Kończąc spowiedź, dodał grzesznik, że musi wyznać jeszcze jeden grzech, którego teraz właśnie przy samym konfesyonale się dopuścił. Oblicze jednak świętego Ludwika nie doznało najmniejszej zmiany. Tem spostrzeżeniem ośmielony penitent, wyznał, że niegodnie posądził spowiednika, myśląc sobie, że on musi być z temi grzechami bardzo oswojony, a może i sam wiele z nich popełnił, gdy słysząc tak okropne grzechy, mógł ich bez żadnego zdziwienia, nawet wesoło słuchać. Na to tak szczere wyznanie oblicze męża świętego jeszcze się więcej wypogodziło. Gdy się grzesznik temu jeszcze bardziej dziwił, rzekł doń święty kapłan:

— Kochany synu, jać wprawdzie jestem wielkim grzesznikiem, a niewdzięczność moja względem P. Boga jest większa z pewnością jak twoja, ale żadnego z twoich grzechów nie popełniłem. Dlatego zaś słuchałem wszystkich twoich grzechów bez oburzenia, a nawet z radością, bo twoje otwarte i szczere wyznanie uważałem jako dobry znak prawdziwego żalu i istotnego ducha pokuty i cieszyło mnie, gdym widział, że przez spowiedź starałeś się pozbyć wszystkich twoich grzechów. Nie weselę się z twoich grzechów, lecz weselę się z tego, że one już są zgładzone; bolało mnie wprawdzie, żeś Boga najdobrotliwszego tak ciężko obrażał, ale tem większą była moja radość, żem cię widział jakoby syna marnotrawnego, powracającego do domu ojca. Wszak wiesz, że Zbawiciel powiedział, iż Aniołowie w niebie więcej się cieszą z jednego grzesznika pokutę czyniącego, jak z 99 sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty; czyż i ja nie powinienem się cieszyć z Aniołami twoją pokutą?

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.